№ 24 WARSZAWA d. 1 (13 Czerwca) ROKU 1874




# I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; —W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.



## BARKAROLLA.

— Dźwięki tej harfy, czemuż, mój drogi,
Wszystkie się w jeden stapiają dźwięk,
Choć dwie znam pieśni?.. Śpiew jednej—błogi,
Boski i święty,
W niebie poczęty;
Drugiej—śpiew smutny, jak dzwonu jęk!

Pierwszy zrodzony w miłości szale,
W miłości tylko swe echo ma..
Niebo się jaśni i złocą fale,
Gdy z harfy śpiewnej
Ten głos strun rzewny
W dwa serca płynąc, w dwóch sercach gra!

Drugi, mój luby! jest dźwięk rozpaczy,
W bólach serdecznych poczęty ton..
Ach! gdy ten duszę sobą naznaczy,
Już dla niej nie ma
Na świecie niema
Nic—nad samotny w męczeństwie skon!

* * *

—Smutnie mi śpiewasz, moja kochana!..
Ja od kolebki te pieśni znam,
Lecz dziś.. dziś roskosz od niebios Pana
Mamy w udziale,
I sam Bóg ściele
Kwiaty rozkoszy pod stopy nam—

Więc w tej rozkoszy użyjmy życia!
Po niej śmierć sama czyż straszy nas?
Cieszmy się!—pijmy... aż do wypicia
Całego czaru
Z tego puharu,
Przy którym znika wieczność i czas!

* * *

—A więc mnie kochasz!. O, przy tem słowie
Harfa zadrżała i sama gra—
Choć cóż ci więcej ona wypowie
Nieśmiałą mową,
Po nad toż słowo
Nad słowo: „kocham!"—cóż harfa ta!?

Kocham cię!—kocham! żyję dla ciebie!
Ot masz od razu całą pieśń tę..
Słowa te tylko śpiewa się w niebie,
Gdzie nic nie boli
Lub też w gondoli
Patrząc tak w ciebie śpiewa się je!

Kocham cię!... słuchaj—po całem morzu
Jak wszystkie fale tym głosem drżą......
Zda się on jeden tylko w przestworzu
Pod nieb sklepieniem,
Blaskiem jest cieniem—
Tęczą—spokojem—szczęściem i łzą!

„Kocham cię!" gwiazdy szeleszczą w biegu—
„Kocham!" brzmią echa nizin i gór—
„Kocham!" drżą liście w gajach po brzegu—
Wieczorna zorza
I wody morza
I wszystko „kocham!" w jeden brzmi chór!

Toż rzucam harfę i biegnę do cię,
I gdy mi serce zalewa krew,
Drżąca z miłości, w szału prostocie,
Mówiąc raz jeszcze,
Ostatnie jeszcze
„Kocham!" tem słowem kończę już śpiew!

*K. Aspis.*

II.

## O pierwszym obowiązku

### WYCHOWUJĄCYCH DZIECI.

Mając coś zrobić przy pomocy ludzi, staramy się powołanych do tej czynności, badać usposobienie, czy odpowiedzą swemu przeznaczeniu. Nim więc mówić będziemy o samem wychowaniu, przedewszystkiem zastanowimy się nad obowiązkami zajmujących się wychowaniem dzieci. Jest to jak sądzimy porządek zupełnie loiczny.

Cała sprawa wychowania, obok pożytku jaki społeczności przynosi, rozwiązuje jedno z wielkich zagadnień filozoficznych, wolności woli w człowieku. Gdyby jej nie było, wszelkie starania około wychowania dziecka podjęte, ograniczyłyby się na dobrem ułożeniu z pominięciem baczności na jego moralną istotę i przyszłe przeznaczenie. Że jednak tak nie jest, że czujemy o ile wychowanie przyczynia się do ulepszenia człowieka, wolności woli zaprzeczyć niepodobna.

Jeżeli zatem człowiek przez wychowanie stać się może złym albo dobrym, czyli złe swe skłonności przyciszyć, złamać niejako a dobre rozwinąć, słowem zostać dziką płonką z cierpkiemi owocami, lub szlachetnym szczepiem, to najlepszą daje miarę ważności obowiązków wychowujących dzieci i ich odpowiedzialności względem własnego sumienia i całej społeczności.

Dzieci z różnemi usposobieniami na świat przychodzą, poznanie ich gruntowne to fundamenta budowy przez wychowawców podjętej. Mało wykształcony nie spełni tego zadania jak przynależy, a że matki główną w tym razie odgrywają rolę, wypływa z tego konieczność wysokiego ich wykształcenia, bo tylko ono jedno co pozwoli wniknąć w usposobienie dziecka, rozważyć je, rozpoznać, usunąć przeszkody, poznać co pozorem ludzi i wynaleźć środki najodpowiedniejsze

do pokierowania tego usposobienia. Dotąd jeszcze toczy się kwestya co do rozmiarów i granic wykształcenia kobiecego, jakby można stanowczo oznaczyć miarę jego, potrzebną do poznania naturalnych skłonności dziecka. Dowód to jak całej sprawy wychowania należycie nie pojmujemy.

Ludzie to jak liście na drzewie, które choć pozornie podobne, różnią się jednak do nieskończoności. Gdyby te różnice w dzieciach dały się na kilka lub kilkanaście grup podzielić, teorya przez głębokich myślicieli ułożona co do sposobów postępowania z dziećmi należącymi do każdej oddzielnie grupy, byłaby do pewnego stopnia wystarczającą. Szłoby tu już tylko o trafną klasyfikacyą dziatek i niemniej trafne zastosowanie wskazówek przez teoryą podanych. Do uzyskania przez matki tej trafności, miara wykształcenia ich dałaby się oznaczyć choć w przybliżeniu, że jednak każde dziecko to przyszły człowiek, a człowiek to świat według własnych odrębnych usposobień rozwijający się, teorya więc myślicieli to tylko rzut ogólny na sprawę wychowania, a matka dopiero tworzy szczegółowo ułożoną według własnych postrzeżeń.

Musi więc być głęboką myślicielką, jak ci którzy teoryę ogólną ułożyli, a tą nie zostanie jeżeli kształceniu się jej granice były stawiane, jeżeli usuwano pewne działy naukowe jako nie odpowiednie jej kobiecej naturze.

Nad wykształceniem ojców nie zastanawiamy się, bo jako dla mężczyzn podwoje wiedzy są na rozcież otwarte, że zaś z podziału zajęć ludzkich cały zachód domowego wychowania dziatek na matkach spoczywa, w imieniu zatem naszej przyszłości, domagamy się środków przysparzania należycie wykształconych matek, ku czemu stawianie choćby najmniejszej tamy uważamy za bardzo szkodliwe.

Kobiety nasze pojęły to należycie, i usunięte od źródła wiedzy w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu, w przyjętym systemacie edukacyjnym, same się domagając jego zmiany, nie tylko czytaniem dzieł pożytecznych braki ztąd powstałe pragną zapełnić, ale nawet kołaczą do podwoi uniwersyteckich aby te roztworzyły się na ich przyjęcie. Wielu widzi w tem niebezpieczeństwo dla społecznego porządku, zniszczenie świętości domowego ogniska, tracenie kobiecego posłannictwa dla szczęścia ich i mężczyzn na nie włożonego, ale sądzimy że to obawy cokolwiek przesadzone.

Jak ojciec mimo swych zajęć i nauki choćby najwyższej, nie zatraca w sobie uczuć ojcowskich ale przeciwnie podnosi je i uszlachetnia, tak i matka z pod tego prawa nie może być usuniętą.

Wyjątki jeżeli się znajdą nie mogą stanowić zasady, i dla tego najsumienniej jesteśmy przekonani, że to domaganie się przez kobiety szerszego zakresu nauk, są instynktownem przekonaniem może nawet bezwiednem, że dotychczasowy tychże obręb przyszłemu ich macierzyństwu już nie wystarcza, że aby go spełniły jak należy, muszą się kształcić tak jak mężczyzni. Jest to naturalny wypływ postępu: nauki rozwijają się, coraz nowsze zdobywają prawdy, sposób zapatrywania na wiele przedmiotów zmienia się, zmieniają się też i sposoby wychowania, a jakżeż ich matka zdobędzie, jeżeli nie stanie się uczestniczką nowych skarbów wiedzy i pozostanie w dawnej swej odrębności? Nie brońmy więc kobietom nauki, wymaga tego dobro przyszłości, dobro dziatek naszych, które nie zostaną dobrymi obywatelami i obywatelkami kraju, jeżeli będą wychowane przez matki, którym odjęto możność do należytego spełnienia swego posłannictwa.

Pierwszym zatem obowiązkiem matek w wychowaniu swych dzieci, jest wykształcenie o ile można najwszechstronniejsze, bo ono rozwijając wrodzony rozsądek, moc rozwagi i zastanawiania się, w każdym wypadku udzieli radę, jak postąpić należy z dzieckiem aby to postąpienie wyszło mu na pożytek nie na szkodę. Ciekawość jest wrodzoną naturze człowieka, w dziecku dopiero rozbudzając się, stokroć silniej jest działającą jak w dorosłym.

Zapytania więc sypią się jedne po drugich, odpowiedzi ztąd zebrane stanowią zasób pewnych prawd i wiadomości, które gromadząc się stopniowo jakkolwiek z wiekiem stają się coraz jaśniejsze, w jakości swej małej ulegają zmianie i zawsze pozostaje grunt na którym się utworzyły. Jeżeli ten grunt założony został przez matkę, w wielu wypadkach nie umiejącą sobie radzić, jakość jego musi być słabą, wątłą. dziecię wyrasta jak dziczka leśna, skłonności złe podnoszą się, bo wrodzone ludziom samolubstwo niezmiernie to ułatwia i dziecko panienka lub chłopczyk wyrosłszy, walczyć musi z tem co w nich nie zostało przyciszone, ulepszone, sprostowane, i ze światem nie rządzącym się zupełnie wyrozumiałością.

Dziecko podobne zowiemy źle wychowane, czyż jego w tem wina?

Czytają też matki, uczą się i pragną nauki: miłość macierzyńska stała się tu bodźcem do ich zabiegu, niechże i zmiana systematu naukowego przyjdzie w pomoc tem szlachetnem usiłowaniom. Nim błoga ta chwila nastąpi, czytanie dzieł pożytecznych w zupełności może być w tym razie wystarczającem. Tylko strzeżcie się dobre matki kochające dzieci, wiedzy swej rozwijać w jednym wyłącznie kierunku. Mamy tu na myśli główne systemata filozoficzne, w żadnym z nich nie znajdziecie prawdy bezwzględnej co do losówi przeznaczenia ludzkiego. Każdy domyśla się jej tylko, przypuszcza i wszystkie dopiero w zbiorze swoim dają pewne światełko, blade, niewyraźne, któremu winno przewodniczyć szczere poczucie religijne, żadnem innem nie mogące być dotąd zastąpione. Czytajcie, ale z tem zawsze przekonaniem, że domysly nie należy brać za prawdy, że sam ścisły materyalizm może tworzyć jednostki bezecne, a idealizm równie ścisły bierne, do pewnego stopnia nawet niedołężne. Wątpliwości ztąd nasuwające się, rozwiązuje jedna wiara ale szczera, taka jaką Chrystus nam przekazał, tę więc zawsze pielęgnujcie tylko w całym blasku jej wielkości, otrząśniętej z naleciałości ludzkiej złości, która wszystko umie spaczyć i do swoich nawet najwznioślejszych widoków skierować. Nauka wiary takiej nie osłabia, a mimo swego niebezpieczeństwa gdy na umysł nieprzygotowany trafi, jest jednak konieczną, bo horyzont myśli rozjaśnia i rozszerza. Brać się do niej należy systematycznie, a najlepiej czytać dzieła uwzględniające zasady przez nas położone. Znajdziecie ich poddostatkiem bez uciekania się do obozu tak zwanego pozytywnego, a właściwie zaprzężonego w służbę najgrubszego materyalizmu. Rada ta nie wypływa, z chęci otaczania matek murem chińskiej zastygłości: pisma i wydawnictwa tak zwane pozytywne, nie tem u nas grzeszą, że służą idei czysto materyalistycznej, ale że ją starają się popularyzować. Aby podobne dociekania wielkich myślicieli, bez szkody były czytane, wymagają poprzedniem przygotowaniem wytrawionego umysłu, co mając własną zasadę umiałby je czytać krytycznie. Umysł świeżo dopiero rozbudzony, może w nich obłąkać się, wpaść w zwątpienie, wreszcie oszaleć, ale nie nauczyć. Na wysokość wiedzy, wchodzi się po szczeblach, pomijający je kark skręci, a do celu nie dojdzie.

---

# STELLA

## POWIEŚĆ

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

---

### III.

— Czy wolno? zapytał Wacław, zapukawszy do drzwi pokoju Stelli.

— Proszę! odpowiedziała, odkładając na bok książkę którą czytała.

Wszedł Wacław i powitali się uściskiem dłoni.

— Siadaj, mój Wacku! Stella zajęła kanapę, Wacław fotel obok. Był niby zamyślonym, ale źrenica jaśniała mu dziwnie.

— Chodziliście daleko? zapytała Stella, by przecież zacząć od czegoś.

— Tylko do domku szwajcarskiego, skłonił czoło wysokie, czyste, na które jednak jakiś powiał obłoczek.

Stella patrzyła się na niego. Oboje milczeli przez chwilę.

— Stello! zagadał wreszcie, ujął jej rękę a piękne jego oblicze nagły promień oblał. Stello! siostro moja!... Jestem bardzo szczęśliwy, tak szczęśliwy, że swojemu nie dowierzam szczęściu! Ale tajemnica to jeszcze, którą jednej tobie powierzę....

Stella z bijącem sercem całem objęła go wzrokiem.

— I cóż? Powiedz! zapytała, kładąc rękę na ramieniu jego.

— Oświadczyłem się Laurze...... Ona mnie kocha! całem sercem dziewiczem. Czy pojmujesz niebiańską rozkosz, być kochanym i przez taką kobietę?... Zażądała tylko, bym o tem nie mówił nikomu: ma powody do tajemnicy, nieznane mi, a badać nie chciałem. Później dowiem się o wszystkiem. Może matka jej inne miała widoki...

— Och, matka jej nie ma głosu, Laura panią jest woli swojej, a nawet i woli matki, bez ograniczenia!

— To może inna jaka okoliczność. Nic nie wiem. Ale wierzę w nią, jak w samą prawdę!.. Dość, że ona jest moją! splotł dłonie i w uniesieniu przycisnął je do piersi. Tobie jednej powierzam wszystko, Stello, bo ty od dzieciństwa jesteś mi siostrą, nie tylko krwi, ale i ducha: serca i dusze nasze rozumiały się zawsze.

— O, mój braciszku! wymówiła z rozrzewnieniem, obyś był szczęśliwym! Obyś znalazł szczęście niezachmurzone niczem, jak na to czystością uczuć swoich zasługujesz.

— Ale Stello, i spojrzeniem nawet nie wyjaw w obec niej, że znasz tajemnicę naszą!

— Bądź o to spokojnym zupełnie!

— Zrobiłoby to jej przykrość wielką... a możeby i słowo cofnęła, bo to silna dusza i wola mocna, wyrzekł z wyrazem pewnej trwogi.

— Skoro ciebie tak spotęgowanem pokochała uczuciem, czystem, dziewiczem, to ją przecie nic podobnego zrazić nie powinno! Tylko przekonanie o charakterze niecnym zwalczyć może miłość, w obec utraco nej wiary i szacunku.

— To też uważałaby, że niedotrzymaniem słowa, zwichnąłem dobrą o sobie wiarę: niesłowność potrąca o honor mężczyzny, a jej wyższe poczucie ma te wymagania, i słusznie!

— Zawierzaj mi, Wacławie, i bądź o mnie spokojnym! Jednem spojrzeniem nie okażę nawet, że domyślam się czegoś.

— Dziękuję ci, kochana!

Po odejściu Wacława Stella upadła na fotel i twarz w dłoniach ukryła.

Dziwny nią zawładnął niepokój, trwoga niemal z czego sobie samej sprawy zdać nie umiała. Kochała Wacława, jak rodzonego brata, ceniła charakter jego zacny, szlachetny, dobroć serca, moralność, najpoczciwsze dążenia i pragnęła dlań szczęścia. Niby pogrążyła się w dumaniu, a myśleć nie mogła, bo myśli rozstrzeliwały się i zebrać ich było niepodobna. Zerwała się zatem jakby przed niepokojem uciekając i do ojca pośpieszyła.

— Cóż mi dziecko moje powie? zapytał pan Zebrzyński, spojrzawszy na nią z miłością.

— Co ojczulek czytał? zapytała, siadając przy nim.

— Traktat o kometach, ale nic tam nowego w nim nie ma! Dawno z salonu wróciłaś?

— Już pewnie przeszło godzinę.

— A zabawiłaś się?

— Nie jestem zbyt wymagającą... Ale te panienki to dzieci jeszcze...

— I takiemi pozostaną pewnie! Nie umieją u nas wychowywać niewiast. A pytanie, czyli to i gdzieindziej umieją?

Nie ma zasady i rozwagi, że to będą przyszłe żony, matki, obywatelki, i dają światu po największej części tylko bańki mydlane. Bo i jakież taka czcza istotka, może potem syny swoje i córki na pożytek własnej rodziny i społeczeństwa wychować? Materyał to raczej na strojnisie, zawrócone głowy i Lafiryndy.

— Ojcze drogi! Ojczulku jedyny! zaczęła Stella po chwili, co sądzisz o przeczuciach?

— Jakto? zapytał i obejrzał się na nią: i znać to niespodziane zadziwiło go pytanie.

— Mówią, że my kobiety miewamy przeczucia, że mamy instynkt wrodzony.

— Tak mówią, sądziłbym jednak, że ów instynkt tak zwane przeczucie, opiera się zawsze raczej na czemś rzeczywistem. Ale określ mi bliżej pytanie swoje.

— Jeżeli....gdy chodzi o los przyjaznej, nawet drogiej nam osoby.... gdy ta osoba coś postanowiła, a my przy tem złowróżbnego doznajemy przeczucia.... Ojcze nie mogę się jasno tłomaczyć!

— Zrozumiałem cię wszelako, uśmiechnął się pan Tadeusz, i odpowiem ci. Sądziłbym, że przeczucie takie polega na czemś, czegośmy się dopatrzyli mimowiednie niemal na czemś dostrzeżonem, przeniknionem, czegośmy jeszcze własną, choćby najskrytszą nie oblekli myślą, i wtedy nazywamy to przeczuciem! mimo że ono na pewnych zrodziło się danych.

— Ojczulek ma słuszność! Och, zapewne! zapewne. Rozumiem, pojmuję....

— Ale o cóż chodzi Stello moja?

— Ojcze, to jest tajemnica trzeciej osoby, a mówić o niej nie mogę, choćby z tobą, mój tatku najdroższy! Stella złożyła dłonie, jakby błagalnie.

— To i nie pytam, odrzekł ojciec poważniej, szanuję tajemnicę każdego człowieka. A co więcej, nie lubię być powiernikiem tajemnicy, bo posiadający ją staję się jej niewolnikiem:

— Później dowiesz się o wszystkiem, mój ojcze.

— A tymczasem pilnuj tego depozytu, droga gwiazdko moja, dodał z dobrocią.

— Co mama porabia? Chodźmy do niej, ojczulku. I weszli do saloniku. Pani Zebrzyńska siedziała przy oknie robotą zajęta.

— Mateczka zawsze przy pracy, zawsze i zawsze, zawołała Stella.

Matka pogłaskała ją po licu i pocałowała w czoło. Słyszałam dźwięki poleczki, panienki tańczyły pewnie?

— Tańczyły, mateczko.

Wesołe dziewczątka!.. Ale, przeczytałam właśnie doskonały w *Tygodniku* artykuł, o zadaniu kobiet w życiu społecznem. Odczytamy go pospołu we troje, bo chcę wiedzieć co ojczulek nam powie.

Hm, widzę, że autor coś logicznie wcale zaczyna, wymówił pan Zebrzyński, odwracając stronice *Tygodnika*. Przeczytamy i pogadamy o nim. Boć to czasem teorya niby arcy-dobra a w praktyce rzecz chromieje.

W tej chwili rozległ się dzwon objadowy.

Pan Tadeusz podał rękę żonie i udali się do sali jadalnej.

Pani Wareckiej z Laurą nie było: kazały sobie objad w pokojach podać swoich.

---

Gdy Stella po obiedzie chciała rodzicom wyżej pomieniony przeczytać artykuł, drzwi otworzono, a w progu Laura stanęła.

— Czy przyjmujesz? zapytała z wrodzonym sobie, a jeszcze i sztuką podniesionym wdziękiem.

— Proszę, proszę! Stella pobiegła ku niej i uścisnęła ją. „Może drugie zwierzenie posłyszę!“ pomyślała sobie w duszy, „może dowiem się wszystkiego i uspokoi mnie!“

Usiadły na kanapce przy sobie.

— Nie byliśmy dziś przy *table d'hôte* zaczęła Laura bo mama nie zdążyła się ubrać. A czy kto nowy nie przybył?

— Nie widziałam nikogo.

— Jak tu nudno w tych Źródliskach, nieprawdaż? Laura niby ziewnęła.

— Mało to jeszcze odwiedzane wody, ale skuteczne.

— Stello, powiedz! odezwała się Laura i zasiadła wygodniej na kanapce, jakby do dłuższej a zajmującej rozmowy; miałam już razy parę o to zapytać. Odpowiedz mi szczerze, Stelko: czy ty kochałaś kiedy.

Stella podniosła ku niej zdziwione oczy, i odrzekła spokojnie:

— Nie kochałam jeszcze.

— To mnie dziwi, dziwi mnie niewymownie. Tyś tak uczuciowa, wrażliwa, poetyczna, a nie kochałaś jeszcze!

— Kończąc nawet rok dwudziesty-piąty życia! zaśmiała się Stella wesoło.

— Prawie nie wierzę w szczerość tej odpowiedzi.

— Gdybym była pokochała, to widziałabyś mnie zapewne już dzisiaj mężatką.

— Och, przecież można kochać, można całą pokochać duszą, a nie pójść za mąż?

— Rozumiem, gdyby jakie niepokonane zaszły przeszkody.

— Nie to, nie, nie! Miłość prawdziwa rodzi się bezwiednie, opanuje serce, duszę, umysł, bez myśli małżeństwa przecie, i taka jest najczystszą, najświętszą, wszech-potężną, bo żadnym nie kierowana widokiem i rachubą.

— Nie wiem jakich słów użyć by ci to opowiedzieć co czuję, odrzekła Stella poważnie bardzo. Rachunek, widoki przy zawarciu małżeństwa, uważam jako coś ostatecznie wstrętnego, nikczemnego. Gdybym zaś pokochała.... to jedynie z tem pragnieniem, by związek z wybranym, podzielenie z nim wszelakiej doli, złej i dobrej, uświęciła ustawa społeczna i kościół bez tej myśli przewodniej nie pokochałabym pewnie.

— O! zaśmiała cię Laura, jakażeś w pojęciach zacofana swoich? Nigdybym tego nie była sądziła. Więc kobieta miałaby tylko dla małżeństwa pokochać? A gdyby ten ukochany był tak postawionym że ciebie poślubićby nie mógł?

— Pokochałabym go zawsze z tą nadzieją, tylko, że nam kościół pobłogosławi, gdyby mój ukochany i królewskim był synem! Mocny rumieniec pokrył wdzięczne Stelli oblicze.

— Więc zawsze tylko *matrimonium* na celu i los, obok wielkiej niby-to miłości.

— Lauro! zawołała Stella i aż zadrżała, a w piersi jej tchu zabrakło. Nie potrzebuję w małżeństwie szukać swobody, bo mam ją przy najlepszych rodzicach w rozciągłości całej.

Nie potrzebuję szukać majątku bo go mam i mogłabym mieć stroje najkosztowniejsze, podróżować, dawać bale, wieść życie w stolicach, wszelkich używać zbytków i rodzice wszystkoby do woli mojej i zachcenia oddali. Ojciec w obywatelstwie jedno z pierwszych zajmuje stanowisk, i nie jestem żądna dziewięciu pałek ani też mitry, zatem matrymonialnych obliczeń mieć nie mogę. Pragnę raczej jedynie serca dla serca, kochać i być kochaną, dać szczęście i być szczęśliwą.

— Ale zawsze w małżeństwie tylko! lekki uśmiech przemknął po ślicznych rysach Laury.

— Nie inaczej.

— I nie mogłabyś pokochać bez myśli, że ksiądz stułą ręce wasze zwiąże?

— Nie pokochałabym pewnie bez myśli tej zasady społecznej, ale gdybym pokochała, a losy przeciwne małżeńskiego nie dozwoliły związku, oderwały mnie od ukochanego, bez jego winy i któregobym szanować nie przestała, kochałabym go nadal, goręcej zapewne jeszcze i na życie całe!

— To już i postęp, że kochałabyś go nadal i bez błogosławieństwa kościoła i ustawy socyalnej, wymówiła Laura z wyrazem szyderstwa.

— Pomnij Lauro, że jeden z pierwszych poetów naszych, bohater świetnych salonów i eleganckich buduarów, ulubieniec towarzystw wielko-światowych, rozpieszczony podbojami, że Antoni Malczewski jedynie w związku dozwolonym, w związku małżeńskim, uświęcił ideał czystej i prawdziwej miłości, bo jego *Marya*, najpoetyczniejszy ideał niewieściej miłości, była małżonką!

— Kochała go zapewne, ale i małżeństwo z bogatym wojewodzicem...

— Nie domawiaj, Lauro! zawołała Stella, składając dłonie. Przez Boga, nie domawiaj, bo wypowiesz bluźnierstwo!

— Więc myślisz i wierzysz, że Gertruda Komorowska i jej rodzice nie mieli na oku także pierwszej partyi w kraju, jaką był Szczęsny Potocki?

— Mówię tylko o *Maryi*, o niewieścim ideale Malczewskiego!.. Dusza jego znać takiego zapotrzebowała i stworzył go.

— To tylko poezya, a myśmy dziś pozytywnymi być powinni, realistami, inaczej cofniemy się i zatoniemy. Miłość jest rajem, jest uroczystością, ale gdzie do formy zbytnie przywiązanie, tam nie szukać miłości, a jeżeli była, to urok jej po ślubie rychło zamiera, po cóż go zatem utracać. Niechaj więc miłość będzie sobie miłością, a małżeństwo *socyalnym kontraktem*.

— Okropnie! zawołała Stella na wpół zdrętwiała? Laura nie spostrzegła tego czy też dostrzedz nie chciała.

— Ale, ale!.. spojrzała na zegarek, mama mnie czeka. Obiecałam że wrócę za minut kilka, a siedzę tu już pół godziny prawie. Zagadałam się. Do zobaczenia, Stello! pocałowała ją w czoło i wybiegła.

Po jej wyjściu Stella jeszcze przez chwilę nieruchoma pozostała w miejscu.

Potem powtórzyła znowu: „Okropnie!“ ścisnęła dłońmi głowę i razy kilka przebiegła pokój. W myślach jej był chaos, rozniecony sprzecznościami, które dopiero co posłyszała z ust Laury, chaos trudny do rozgmatwania, wstrętny, odrażający, a nawet

bolesny! Bolesny, że zdania takie rodzą się, jak grzyby jadowite w społeczeństwie naszem. Chciałaby zapłakać, a nie mogła.

Czy powtórzyć Wacławowi tę rozmowę, czyli też zamilczeć o niej? On zakochany ślepo, olśniony, oszalały, widzący w niej bożyszcze jakieś, tłomaczyłby sobie wszystko inaczej, zmartwiłby się ale nie uleczył. Na cóżby się więc zdało powtórzenie mu tych jej zdań przewrotnych.

Posłyszała głosy w salonie rodziców. Odemknęła drzwi: rodzice grali w szachy, obok stał Michał i przypatrywał się.

— Michasiu! zawołała, proszę cię, chodź tu na chwilę.

Michał pośpieszył na jej wezwanie.

— Siadaj. Chcę z tobą słów parę pomówić. Czy towarzyszyłeś z Wacławem paniom Wareckim do domku szwajcarskiego na kawę? zapytała.

— Tak jest, i miałem zaszczyt, że pani Warecka na mojem wspierała się ramieniu, gdy Wacio pannę Laurę prowadził.

— O czem tam rozprawialiście? Nie dziw się tem pytaniom i nie uważaj ich za prostą tylko ciekawość.

—Przecież znam ciebie, musisz mieć ważne powody. Otóż w drodze do Szwajcaryi, wyprzedzili nas, Wacław z panną Laurą, a pani Warecka rozmawiała ze mną, gdzie najlepsze są bułeczki i rogaliki: niosłem ich całą pakę, mówiąc w nawiasie. Przy kawie toczyła się gawędka o gościach kąpielowych, przy czem panna Laura przedstawiała smutną stronę panien Kloci, Lorci i Bryni, co mnie gniewało niepomiernie. Potem pani Warecka znowu jakąś kulinarną wszczęła rozprawę.

Z powrotem szliśmy z panią mamą naprzód, a panna Laura z Wacławem daleko po za nami zostali. Obejrzałem się razy parę, a widziałem zawsze, że są w jakiejś głębokiej zatopieni rozmowie i mieli głowy pochylone, i zdawali się na resztę świata nie zważać. Szliśmy coraz wolniej.

Pani Warecka przystawała nawet, będąc zmęczoną. Na zakręcie do źródła doczekaliśmy się ich wreszcie. Panna Laura posłała mnie z listem na pocztę, a Wacia po książki do księgarni. Następnie, po dopełnieniu tych rozkazów, zeszliśmy się z Waciem przy wejściu do salonu. Sądziliśmy, że tam ciebie zastaniemy, Wacław miał jakiś szczególniej dziwny wyraz.... że aż mnie to zdziwiło.

To też zapytał, spostrzegłszy mój wzrok badawczy:

— Czegóż tak patrzysz na mnie?

— Bo jakoś dziwnie wyglądasz, odrzekłem: widzę zmianę w tobie....

— Jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy! zawołał, ale nie mów o tem nikomu! i otworzył drzwi salonu, gdzieśmy trzy panienki zastali....

— I nie wiesz jakie to szczęście spotkało Wacława?

— Domyślam się trochę... ale nie mówiłbym o tem, boć to domysł tylko. Stelko! dodał ciszej, Wacio szalenie zakochał się w Laurze, na zabój.

— A ona?

— Wiesz, że i ona go kocha, zdaje mi się nawet że bardzo. Ciągnie go, wabi.. a to ich sam na sam dziś w drodze nie było bez znaczenia, i ztąd ta szczęśliwość Wacia.

— Daj Boże! poszepnęła Stella. Idźmy do rodziców.

— I to już wszystko, o czem pomówić chciałaś?

— Wszystko.

---

IV.

Gdy towarzystwo kąpielowe około szóstej godziny na przechadzkę wyległo, poszli za drugiemi i państwo Zebrzyńscy, Stella i Michał. Klocia, Lorcia i Brynia, w leciuchnych sukienkach i jasnych rękawiczkach, odznaczały się już zdaleka, a zobaczywszy Stellę niebawem do niej podążyły, wykładając gdyby z koszyczka lub bonbonierki, różne miejscowe wiadomostki, nowinki i ploteczki. Stella tylko pół uchem słuchała, bo myśl jej ciągle jeden i ten sam niepokoił przedmiot.

— Szukano też pani Wareckiej z telegramem, zagadała nakoniec Lorcia.

— Kiedy? Stella jakby ocknęła się nagle.

— Przed godziną może. Telegram był z Drezna.

Stella obejrzała się za Wacławem: nie było go nigdzie, szła dalej z panienkami cienistą ulicą. Michał barażkował z niemi i młodzi bawili się wybornie.

Po chwili Wacław szybko nadszedł od strony mieszkania pani Wareckiej. Był nieco blady, a wyraz twarzy objawiał pomięszanie. Pokłonił się pannom i podając rękę Stelli rzekł:

— Pani Warecka odebrała telegram z Drezna od kuzynki. Przyjeżdża tam krewny, którego nie widziała oddawna, więc dziś jeszcze nocnym jadą pociągiem.

— Do Drezna? zapytała Stella.

— Tak jest. Przyjdą tu za chwilę, by się pożegnać.

— Jaka to szkoda, że odjeżdżają, zawołała Klocia.

— Mają wrócić za tydzień.

— Och, to dobrze!

— Bogu dzięki! Laura taka miła!

— Taka dobra, jest prawdziwą ozdobą Źródlisk! zawołały trzy panienki jednodźwięcznie.

Stella odciągnęła brata nieco na stronę i zapytała zcicha:

— Od kogóż ten telegram i któż przyjeżdża?

— Telegram jest od pani Poletyńskiej, mieszkającej w Dreźnie, a owym krewnym jakiś pan Gundulicz z Litwy: jedzie on podobno do Karlsbadu i tylko dzień jeden w Dreznie zabawi. Chciałem paniom towarzyszyć, ale mi tego Laura wzbroniła, by nie zwracać uwagi... Przyrzekła, że za tydzień powrócą. Jednakże, nie wytrzymam tutaj w tej niepewności, i po trzech dniach pośpieszę za niemi cichaczem.

Stella milczała, bo sama nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Kiedyż wyjeżdżają? zapytała nakoniec.

— O trzy kwandranse na dziewiątą.

— Oto nadchodzą!

Stella postąpiła ku nadchodzącym, Laura już była w podróżnem ubraniu: w sukni czarnej kaszmirowej, zrobionej w rodzaju amazonki, i w kapelusiku czarnym, okrągłym, z niebieską zasłoną w czarne pęczki. Wyglądała czarująco. Powitała Stellę, pani Warecka uścisnęła ją czule.

— A gdzież rodzice? zapytała.

— Siedzą pod kasztanem.

— Chodźmy ich pożegnać. Pan Wacław oznajmił państwu, że wyjeżdżamy do Drezna?

— Lecz wrócimy za tydzień, szybko dodała Laura. Nie widziałyśmy pana Ignacego Gundulicza już od lat kilku.

— A w Dreźnie zatrzyma się tylko dzień jeden, dorzuciła jeszcze matka.

Udali się pospołu do państwa Zebrzyńskich.

Nastąpiło powitanie, a potem i pożegnanie zaraz.

O kwadrans na dziesiątą Stella czekała na Wacława w ogródku przed domem. Nadszedł z chmurą na licu.

— Odjechały! rzekł smutnie podając jej rękę.

— Czy zatrzymały mieszkanie? zapytała Stella.

— Nie.... pani Warecka jest oszczędną. Mówiły że zatelegrafują, gdy będą miały wrócić, z prośbą o wyszukanie mieszkania.

— Rzeczy zabrały wszystkie?

— Nie wiedziały co im w Dreznie może być potrzebnem .. Stello! dodał zcicha, ona mnie całą duszą, całem kocha sercem. Słyszę jeszcze jej ostatnie wyrazy pożegnania, i czuję uścisk jej ręki....

— A matka?

— Powtórzyła dziesięć razy: „do widzenia!" do zobaczenia, panie Wacławie!... Trzech dni chyba tutaj nie wytrzymam, bo nie pojmuję, dla czegobym za niemi rychlej pospieszyć nie miał? .. Tutaj powiem że jadę do *

Umilkli oboje. Wacław myślą tęskną gonił za ukochaną, którą para unosiła daleko, Stellę przykre tłoczyło uczucie. Po chwili odezwał się Wacław.

— W Dreznie roztrzygnie się wszystko i jako narzeczeni tu wrócimy... A teraz dobra noc dziewczynko!

Dnia trzeciego potem zakochany popędził do Drezna.

Stella nie mogła przemódz siebie by rodzicom nie wyznać: że pojechał za Laurą. Pani Zebrzyńska uśmiechnęła się z dobrocią i wyrzekła.

— Zakochało się chłopczysko!

A pan Zebrzyński głową pokręcił w milczeniu.

(D. c. n.)

---

# O POSTĘPIE

PRZEZ

**Elizę Orzeszkową**

(Dokończenie.)

Daleko mniej strasznym od namiętności, łatwiejszym do pokonania wrogiem człowieka jest choroba. Twierdzenie to wydać się może komu paradoksem a jednak wyraża prawdę. Choroba mniej straszną i łatwiejszą jest do pokonania niż namiętność, dla tego naprzód, że namiętność może być złem i dobrem choroba zaś zawsze i niezmiennie jest tylko złem, że namiętność w życiu człowieka i społeczeństw stanowi żywioł niezbędny, choroba zaś najzupełniej nie potrzebny. Człowiek przez wychowanie lub inne wpływy pozbawiony wszelkiej namiętności, jest moralnym kaleką, lecz któżby nie pragnął dla siebie i swoich uwolnienia się raz na zawsze od wszelkiej choroby.

To więc co bez sporu, ni wyjątku uznanem zostało za absolutnie złe i szkodliwe, uzbraja przeciwko sobie liczniejszych bezwzględniejszych, zażartszych przeciwników, niż żywioł który z pewnych stron szanowanym, strzeżonym być musi,prędzej tedy i zupełnie ustępuje przed silniejszą napastującą go potęgą. Oprócz tego choroba jako żywioł czysto fizyczny, warunkujący się cielesnym organizmem człowieka, oddziaływającemi nań fizycznemi także wpływami, rządzoną jest bardziej stałemi prawami. przedstawia bardziej dotykalne niejako, obrachowaniu podatne fakta, łatwiejszą jest tedy do poznania i co zatem idzie do pochwycenia w powstrzymujące lub i całkiem niszczące karby Zważywszy na olbrzymie postępy sztuki lekarskiej objawiające się nietylko w tłumieniu i zabijaniu chorób istniejących za pomocą środków terapeutycznych i chirurgicznych, ale i w zapobieganiu powstawaniu ich za pomocą hygieny, możemy zdaje się bez zbytniej zuchwałości powiedzieć, że doprowadzenie chorób trapiących ludzkość do nieskończonego zmniejszenia się, jest już tylko kwestyą bardzo długiego zapewne czasu sto-

pnia poznania organizmu ludzkiego i wszystkiego co posiada z nim styczność. Dziś już śmiało powiedzieć można, że człowiek przez naturę i wychowanie obdarzony prawidłowo rozwiniętym organizmem, utrzymujący w równowadze władze swe moralne, i znający dokładnie wpływy wywierane przez otaczające żywioły na istotę jego, w mocy swej posiada uchronienie się od fizycznych chorób i niedołężności. Liczba ludzi podobne posiadających warunki jest dotąd wielce ograniczoną, już to wskutek odziedziczenia w poprzednich pokoleniach zarodków chorób, już to przez małe rozszerzenie się odpowiednich wiadomości i urządzeń. Pomnożenie się jej przecież takie, aby większość ludzkości stanowiła, zależy od postępu odkryć naukowych i rozprzestrzenienia wśród mass zbawiennych ich wpływów, od dobrego i jak najszerszego stosowania prawideł fizycznej i moralnej higieny, które ulepszając zdrowie powszechne, wzmacniać je będą z pokolenia na pokolenie?

Przeciwko śmierci za to żadna moc nie nie może, bo jakkolwiek badacze świata nauczają nas, że bezwzględnej śmierci nie ma na ziemi, lecz istnieje tylko nieustanna przemiana form, krążenie życia z kształtu w kształt przechodzącego, to jednak przemiany takie stanowią niewątpliwie względną śmierć pojedyńczych organizmów, które jako osobniki kończą wraz z nią pewien cykl bytowania, aby w innym już, nieświadomym uprzedniego istnienia swego, odrodzić się, przejawić.

Żadne odkrycia naukowe, ani wydoskonalenia się moralne nie usuną ani w najlżejszej mierze nie zmniejszą niezbędności zjawiska. Postęp powszechny mocą wszystkich razem wziętych dobrodziejstw swych, przedłużył w pewnych miejscach i w pewnej mierze, zdolnym jest przedłużyć ogólniej jeszcze i więcej przeciętne trwanie życia człowieka jako człowieka; nie umniejszy to przecież w niczem absolutności prawa, które ujednostajnia ogólną liczbę ludzi rodzących się z liczbą umierających.

Owoż pomimo wiedzy o niezbędności katastrofy, o dobroczynności jej nawet względem powszechnego ustroju świata, koniec bytowania w danym kształcie zawiera w sobie, dla wszelkiej istoty czującej i myślącej, żywioł smutku i grozy.

Utrzymują niektórzy, że im więcej ludność w skutek powszechnego postępu stawać się będzie lepszą i szczęśliwszą, tem smutniejszą i straszniejszą stanie się dla ludzi konieczność umierania. Jeżeli powiadają, w obecnych warunkach ziemskiego bytu, śród srogich walk o wszystko co nam potrzebne jest lub miłe, śród nocy bez snu, dni bez radości, mozołów bez końca ni nagrody, żalów bez pociechy, tak mocno jednak żyć pragniemy, tak bardzo unikamy owej końcowej katastrofy, która zdjąć ma z bark naszych brzemię palące i przygniatające, cóż będzie wtedy, gdy ziemia względnie do teraźniejszego stanu swego, przemieni się w miejsce pełne obfitości i ułatwień bytu, gdy przez pomnożenie się źródeł uciechy pomnożą się nasze władze czucia, gdy wszystkie siły fizyczne utracą nad nami władzę swą dręczącą i groźną a pracować będą dla dobrobytu i spokoju naszego? O ileż okrutniejszem i posępniejszem stanie się wtedy prawo śmierci? Z jakąż rozpaczą umierać będą ci, których życie tak pełnem było, łatwem, bogatem w słodycze i upojenia!

Rozumowania podobne i wnioski mają za sobą pozory prawdy, w gruncie mylne są bo wyrzucają z rachunku niewątpliwie posiadaną przez człowieka psychiczną władzę, cieszenia się nie tylko tem co jest ale i tem co było, a także wysoką zdolność moralną czerpania pociechy i zadowolenia w poczuciu własnej wartości i uznania własnej zasługi.

Usuwając na stronę to, że śmierć ujrzana ze stanowiska naturalnego i filozoficznego, traci wiele na tajemniczości swej a więc na swej grozie, stanowisko takie bowiem nie każdemu dostępnem jest i nie nad każdym posiada wpływ pocieszający, zdaje się rzeczą niewątpliwą, że śmierć tem bardziej bolesną jest i przerażającą, im więcej życie ogołoconem było ze wszelkiego szczęścia i wszelkiej zasługi. Pustka minionej na zawsze doby bytowania przeraża człowieka, napełnia go żalem niewypowiedzianym, połączonym z pełną niejasnych uraz goryczą. Cierpiał i zadawał cierpienia, nie sprawił nic dobrego, spał lub błądził, śród drogi przebytej nie wyrył żadnego śladu, na który mogłaby upaść łza wdzięczności potomnych, na scenie której był jednym z aktorów, nie połączył dłoni swej i głosu swego uściskiem wzajemnej miłości i pomocy z dłonią ni głosem niczyim,—bezpowrotnie upłynione życie jego to pustynia,—śród niej, żadna oaza prawdziwego szczęścia nie przykuwa do siebie i wiecznie trwałem światłem przypomnienia nie rozwidnia omdlewających oczu jego,—żadne źródło dobroczynne zasługą jego z głębokości w jakich spało wydobyte, nie przelewa mu w pierś wezbraną żalem po opuszczonej ziemi, kojących wód spokoju sumienia, cichej lecz wzmacniającej radości z widoku dokonanych dzieł dobrych powstałej, tu i owdzie tylko, śród stepu tego o drogach zatartych, pustych, niby ucieleśnione widma wyrzutu, grozy, żałości, powstają i posępnym kroczą szeregiem: błędy popełnione, zmarnowane godziny, nietrwałe uciechy, źródła prawdziwego szczęścia ominięte, zatracone, cnoty zapoznane, wzgardzone, więc mszczące się w ostatniej chwili życia bezdennem upokorzeniem... Po cóż więc rodził się, dla czego żył? A jednak nie dobrze iż żyć po raz drugi, w tym samym kształcie nie może. O! gdyby mógł, czyliżby zagadki bytu nie pojął inaczej, czyżby istnienie swe zmarnował w podobnie nędzny sposób albo też raczej zapełniłby je może i użył tak, aby gdy kończyć się ono będzie módz ze spokojną piersią a głową i sercem wezbranemi zawsze pełnią myśli i miłości, powiedzieć: „byłem, czułem, działałem,—forma pod którą spłynęło istnienie moje rozkłada się aby nowych źródeł nowym formom bytu użyczyć, ale to, czegom doświadczył i to com zdziałał, czyni nie mniej smutną i straszną utratę życia wspomnieniem i świadectwem, że posiadałam je z samowiedzą i w pełni!"

Najsroższe cierpienia nie zrażają bynajmniej do życia, jak widzieć to możemy, z wszech rodzajów nędzarzy, u których instynkt zachowawczy działa z niemniejszą uporczywością jak u szczęśliwców opływających we wszelkie dobra.

Samobójstwo bywa najczęściej sprawą umysłowego obłędu, albo nagle powstałej gwałtownej namiętności, bardzo rzadko zaś dziełem rozważnej i czynu swego świadomej woli. Przeciwnie zaś, istnienia które prawidłowo i aż do ostatecznego możliwego kresu przebiegły cykl przez naturę im przeznaczony, życia rozumne, cnotliwe, użyteczne, gasną cicho i łagodnie bez radości zapewne, ale też bez rozpaczy, ze spokojnem przyjęciem nieubłaganej konieczności, z pocieszającem spojrzeniem w przeszłość, która minęła wprawdzie ale nie była dla nich straszną.

Nigdy zapewne śmierć nie utraci całego smutku swego i całej swej grozy, ale dalecy od wyobrażenia sobie, że im ludzie lepszymi i szczęśliwszymi będą tem żywioły te wzmogą się na sile i posępności, sądzimy przeciwnie że liczba istnień szczęśliwych i użytecznych wzrastając, pomnoży ilość skonów spokojnych, uwolnionych od najsroższych udręczeń moralnych, jakimi są: gorycz zawodu, żal zapóźny, urazy względem świata i bliźnich poczuwane, wyrzuty samemu sobie czynione.

Tak więc, myślą i wyobraźnią kreśląc możliwe granice postępu, nie możemy rozsądnie spodziewać się, aby kiedykolwiek ziemia stała się rajem, a ludzie przemienieni byli w aniołów: sprzeciwia się bowiem temu wiele warunków niezłomnie trwałych bo ściśle związanych z przyrodzeniem świata i ludzkości. Nigdy prawdopodobnie istnieć nie będzie pomiędzy ludźmi absolutne podobieństwo zdolności i skłonności, które samo tylko sprawdzić by mogło absolutną zgodę. Pewna summa namiętności ludzkich, pozostanie zawsze niesforną i w złe kierunki dążącą; pewna ilość umysłowych niedołężności, moralnych przywar, fizycznych kalectw i cierpień mącić nie przestanie powszechnej cnoty, powszechnego rozumu i zdrowia. Żądze ludzkie postępować też muszą w natężeniu i wymaganiach wraz z postępem dóbr już posiadanych, ztąd wiekuista konieczność potrzeby i wysiłku do zadowolenia jej dążącego, a więc konieczność trudu, współubiegania się i zawodu. U kresu nakoniec wszystkiego tego stać zawsze będzie śmierć,—dla większości ludzi mniej ponura i przerażająca, bo zbadana w istocie swej i pojęta w nieuniknioności, mniej rozpaczliwa bo złagodzona wspomnieniem żywota spędzonego dobrze, dla pewnej jednak liczby jednostajnie gorzka i groźna, dla wszystkich niezbędnie—smutna.

Wszystko to prawdą jest niezaprzeczalną, a jednak na darmoż pracowały, szukały, spodziewały się setki pokoleń ludzkich? Na darmoż dziadowie wzruszali łono twardej gleby aby miękką stała się dla ich prawnuków? Nadarmoż samotny myśliciel spędza noce bez spoczynku i dnie bez radości, aby dokonane przezeń odkrycia i sformułowane nauki, użyczyły spokoju i cnoty ludziom, których on znać nie ma nigdy?

Na darmoż szlachetne piersi ludzkie pękają od nawoływań ku rzeczom wielkim, płomienne duchy jak Salamandry palą się w ogniach bezgranicznych ukochań, dobroczynne istnienia płyną po cierniach, konają przy trudach?

Nie, postęp powszechny nie przywiedzie zapewne ludności ku absolutom prawdy, dobra i szczęścia, ale ją ku nim zbliży a zbliżenie to dostateczne już jest pożądanem, dostateczną sprawi różnicę we wszechstronnym losie ludzi, aby dla sprowadzenia go warto było cierpieć, walczyć, pragnąć i pracować.

KONIEC.

---

# SZKIC
## LITERATURY ROSSYJSKIEJ
### Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

**(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)**

(Dalszy ciąg)

W powieści tej autor przedstawia kilka osób współczesnych należących do rozmaitych sfer społeczeństwa rossyjskiego, które obiegają Europę w charakterze turystów i spotykają się w Baden-Baden. Gubarew, przywódzca młodego zastępu niedorosłych postępowców i mężów stanu przyszłości, zyskał wielką przewagę w swojem otoczeniu talentem, z jakim odgrywał rolę wielkiego człowieka przejętego nowemi i postępowemi pojęciami, umiejącego zamydlać oczy swoich wielbieieli i unikać zręcznie odpowiedzi na zarzuty przeciwników.

Równie wymownym jest Worolilow do tegoż samego należący kółka, wie kiedy trzeba milczeć a kiedy mówić, i przedstawia doskonale typ owych młodych liberałów rossyjskich, trawiących życie bez celu i korzyści na polu postępu dokonanego w dziedzinie nauk, sztuk i piśmiennictwa.

Cała intryga powieści zześrodkowuje się w dwóch osobach, w Irynie i w Litwinowie. Ta Iryna godna

jest zająć miejsce w Galeryi bohaterek Turgeniew'a, który ze szczególnym talentem odtwarza doskonale typy tegoczesnych Rossianek.

Irina jest płocha i zmienna, charakter ma słaby i powierzchowny, ale obok tego nie brak jej powabu ani wdzięku. Jest to temperament nerwowy, jej lekko uśmiechnięte usta zdradzają silne namiętności, a drażliwość i wybryki miłosne, są u niej wynikiem odosobnionego życia w jakiem spędziła młodociane lata.

Obok zajmujących dziejów miłosnych, stosunków Iryny i Litwinowa oraz dowcipnych pocisków satyrycznych których nie brak w *Dymie*, należy jeszcze zwrócić uwagę na filozoficzną stronę tej książki, zawartą w nader zręcznych i dowcipnych rozmowach prowadzonych przez osoby, wchodzące do powieści, których większość jakkolwiek nie mająca głębokich i wyrobionych przekonań, wydaje jednak bardzo surowy i nieżyczliwy sąd o wszystkim co tylko odnosi się do Rosyi. Takie zdania rozczarowanego Putugina, malują dobrze ogólne poczucie zniechęcenia oddane dobrze w tym utworze Turgeniewa.

*Strumień* Gonczarowa odznacza się prostotą przedmiotu, wzorowem oddaniem wytworzonych typów i plastyczną pięknością stylu.

Romans ten da się podzielić na dwie części. Pierwsza opiewa ustęp miłostek wielko-światowych Rajskiego i pani Belowodow, druga, obszerniejsza, jest wybornym obrazem odosobnionego życia na prowincyi.

W pierwszej części, wzajemne stosunki osób powieści są czysto etykietalne, gdyż wymagania *high fife* i konwenanse wielko-światowe, zagłuszają wrodzone uczucia, kiedy przeciwnie w drugiej części stosunki te rozwijają się swobodnie skutkiem niepowstrzymanych popędów duszy i tkliwych węzłów rodzinnych, z jakich utkane jest życie domowe.

Główny bohater, Rajski, jest to szlachcic dobrze wychowany, żywy i namiętny, ale pozbawiony woli i energji, i dla tego nigdy nie dochodzi do celu, a jako artysta nic stworzyć nie jest zdolny.

Pani Belowodow, młoda wdowa uderzającej piękności, ale zimna jak starożytny posąg, tylko ze słyszenia zna porywy i burze namiętności; z pozoru wydaje się czułą i niewinną, ale, jak mówi Gonczarow, ogień i uczucie płonące w jej oczach, jest to po prostu zadowolnienie z siebie i zupełna nieznajomość cierpienia, jak piękna i gładka cera jej twarzy, której nie uszkodziła nigdy boleść ani troski.

(d. c. n.)

## Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg.)

Madryt, w Maju 1874 r.

W salonie pięknej wdowy zwracał na siebie oczy wszystkich wielki portret jenerała, w całej postaci, w paradnym mundurze, w nader kosztowne osadzony ramy. Na kominku, leżała na aksamitnem podłożeniu, pod szkłem, szpada zmarłego; na głównej ścianie wisiał duży i piękny obraz przedstawiający cmentarz u Wód-Ciepłych, a na nim wspaniały pomnik marmurowy, który niepocieszona wdowa, jak druga Artemiza, poświęciła pamięci nieodżałowanego małżonka. Wierna ułożonemu programowi, Bibianna dotąd chodziła w żałobie, a świat podziwiał jej cnoty i miłość małżeńską.

Pewnego dnia wuj Lucyana wracając z licznego zebrania u wdowy po jenerale Campos, spotkał się z siostrzeńcem, i rzekł mu:

— Wiesz co, Lucyanie, że pomimo tej przesadnie przedłużanej żałoby i nieustannych unoszeń się nad cnotami jenerała, które dawniej także wydawały mi się przesadzone, przekonywam się teraz, że jenerałowa Campos odznacza się pięknym, szlachetnym charakterem, i widać rzeczywiście bardzo była przywiązaną do męża.

Lucyan nic nie odpowiedział.

— Słuchaj Lucyanie, mówił dalej wuj nieco zadziwiony jego milczeniem, jest to prawdziwa zagadka że ty który tak tkliwie kochałeś jenerała i tak szanujesz jego pamięć, tak unikasz spotkania się z jego żoną.

Lucyan już otwierał usta, ale zastanowił się i nic nie odpowiedział.

— Wiesz co, mówił dalej, że nie mogę pojąć powodu tej sprzeczności twego postępowania, to tylko pewna że wszystkich uderza w oczy. Nie zaprzeczysz pewnie, co wszyscy przyznają, że jenerałowa jest pod każdym względem kobietą wzorową, zdobną w najpiękniejsze cnoty.

— Bywają cnoty tylko powierzchowne.

— Przecież to nie da się zastosować do jenerałowej, kobieta tak pobożna...

— Bez wiary i religji, odparł zniecierpliwiony Lucyan.

— Tak miłosierna.

— Bez litości i miłości chrześcijańskiej.

— Hojna.

— Bez szlachetności.

— Wzorowa wdowa.

— A nigdy nie była dobrą żoną.

— Tak więc w twojem przekonaniu, jenerałowa jest jakąś istotą odrębną, jakimś nowym zupełnie typem?—zapytał wuj z uśmiechem.

— Nie, mój wuju, odrzekł Lucyan, jest to przeciwnie typ bardzo dawny i doskonale znany.

— Jakże go nazywasz?

— *Faryzeuszka.*

Podczas pobytu mego w Sewilli, poznałem także Koryunę hiszpańską, królowę tegoczesnej poezyi hiszpańskiej, donnę Gertrudę Gomez de Avellaneda. Przesycona sławą i tryumfami jakiemi napawał ją Madryt, donna Avellaneda pojechała do Havanny, jako swojej rodzinnej ziemi, a po kilku latach, owdowiawszy, wróciła do Hiszpanji i zamieszkała w Sewilli. Czy chciała odetchnąć tu po świetnych tryumfach odnoszonych w Madrycie i w Kubie? Nie sądzę, gdyż zdaje się, że z usposobienia genialna poetka nie lubi ciszy i samotności. Myślę więc, że raczej skłoniły ją do tego względy polityczne. Dopókąd była jedynie poetką, miała samych tylko wielbicieli i zwolenników, lecz gdy rzuciła się na wzburzone morze polityki, wytworzyła sobie licznych nieprzyjaciół w przeciwnych stronnictwach,—może dla uniknienia niemiłych z nimi stosunków, nie wracała do Madrytu.

Jakkolwiek donna Gertruda Gomez de Avellaneda nie jest już tak młodą, do dziś dnia jest bardzo piękna, a postawa jej wspaniała, imponująca. Talent jej nie utracił nic ze swej młodzieńczej siły i ognia, pisuje poezye liryczne, elegije, dramata, romanse i we wszystkich tych oddziałach cieszy się wielkiem, najzupełniej zasłużonem powodzeniem.

Nie możemy tu pominąć jednej jeszcze kobiety, która jakkolwiek nie pisze ani poezyi ani powieści, jednak znana jest i szanowana w całej Hiszpanji, i najznakomitsi uczeni podziwiają jej rozległą erudycyę, głęboką naukę i trafność sądu: mówimy tu o donnie Conception Arénal de Garcia Carrasco.

Oto co było powodem, że Donna Corrasco, wiodąca skromne życie w domowem zaciszu, poświęcająca się wychowaniu jedynego syna, dała się poznać publiczności hiszpańskiej.

Organizacya dobroczynności publicznej, długo jeszcze będzie dla Hiszpanji ciężkiem i trudnem zadaniem. Przez długie wieki, duchowieństwo dźwigało na swoich barkach ten słodki ciężar, dzięki gorącej wierze i miłości chrześcijańskiej, które pod tym względem nie znają niezwalczonych przeszkód. Zniesienie klasztorów obaliło dawny porządek, i naraz rząd ujrzał się całkiem nieprzygotowany w obec zupełnie obcego sobie zadania. Jednakowoż, powoli z pomocą duchowieństwa, municypalności i miłosierdzia pojedynczych osób, udało się tu i owdzie pochwytać niektóre pojedyncze nitki nierozważnie porzywanej sieci, — lecz pomimo to dusze prawdziwie miłosierne, dla których jałmużna i wspieranie nieszczęśliwych jest obowiązkiem chrześcijańskim a nie kwestyą stronnictwa, długo jeszcze żałować będą dawnego systemu. Jednak sprawiedliwość każe przyznać, że nierówny rozdział ludności, odległość od środkowych punktów i współzawodnictwo prowincyonalne, nastręczają tak rządowi jako też i stowarzyszeniom prywatnym tak wielkie trudności, że tylko czas, energja i niezmordowana wytrwałość podołać im zdołają.

(D. c. n.)

## Przegląd teatralny.

**Zyzio,** komedya w 3 aktach Zofii Mellerowej.

Jeżeli sztuka dramatyczna w danym kraju dosięgła wyżyn pełnego, harmonijnego rozwoju, to można być pewnym, że każda kwestya społeczna żywiej zaprzątająca umysły, poddaną zostanie analizie scenicznej. Na scenie bowiem wszystkie pojęcia wysuwające się z interesów i stosunków chwili bieżącej, wszystkie jej dążenia wsteczne czy dodatnie, każde gorętsze uczucie przenikające piersi jednostek intelligentnych lub ciemne massy ludu, znajdują najwybitniejszy swój wyraz. Scena jest streszczeniem życia, możnaby ją porównać z krajobrazem zdjętym *à vol d'oiseau*, w którym rysują się same tylko punkta szczytowe, wierzchołki świątyń, pałaców, chat, drzew i gór.

U nas niestety o takim wszechstronnym rozwoju sztuki dramatycznej mowy być nie może. Utwory oryginalne pojawiają się w literaturze i na scenie bardzo rzadko, a pomiędzy temi nielicznemi produktami własnej twórczości, ileż jest tylko parafrazą sytuacyi, scen i obrazów żywcem z obcego zaczerpniętych źródła.

Wyradza się ztąd, rzecby można, pewna ułamkowość naszych dzieł scenicznych. Wiadomo, że człowiek wtedy tylko swobodnie doskonali się i rozwija, jeżeli znalazł właściwą sobie atmosferę moralną, towarzystwo, które jednym jego dążeniom przynosi poparcie, innym opór stawia, wszystkim wreszcie daje kryteryum ich wartości, sprawdzań, źwierciadło. Prawidło to rządzić się zdaje z równą donioslością utworami sceny. Usiłowania jednych autorów chybione czy uwieńczone powodzeniem, stają się bodźcem dla drugich, badanie życia społecznego przedsiebrane jednocześnie z wielu punktów widzenia nabiera żywotności i prawdy, publiczność łączy się ze sceną nie już węzłem prostej ciekawości ale trwałem zjednoczeniem sympatyi, szacunku i zapału.—zdolności pisarskie w obec rozległych horyzontów działania, potęgują swe siły i kształcą samodzielność spostrzegawczą.

Nie można więc winić naszych nielicznych autorów scenicznych, jeżeli w swej działalności nie ujawniają wybitnego postępu, jeżeli często przerzucają się od

sztuk poważniejszych do lżejszych, jeżeli przeceniają skalę swego talentu i nie łatwo znajdują drogę, po której iść im najswobodniej i najśmielej.

Te kilka słów wstępnych uważaliśmy za konieczne przed oceną komedyi p. t. „Zyzio", która jest jednem z usiłowań wprowadzenia na scenę donioślejszej tendencyi społecznej.

Ów Zyzio jest to sobie jedynak rozpieszczony i zepsuty przez słabą i zakochaną w nim mamunię. O obowiązkach życia mu nie mów ani nawet o jakiej takiej robocie posługującej do prawidłowego utrzymania istnienia. Zyzio lubi próżniactwo, hulanki, życie nad stan, grę w karty i inne podobne rozrywki, które do czasu mogą czynić doczesną wędrówkę na ziemi wcale przyjemną, ale nigdy nie przynoszą jej zaszczytu. Tych wszystkich upodobań nabył Zyzio za granicą, pod wpływem rad i przykładu ze strony barona Szerszenia wyuzdanego rozpustnika, pieczeniarza, zbankrutowanego panka żyjącego kosztem niedoświadczonej młodzieży. W gruncie rzeczy Zyzio jest niezłym chłopcem, nie zabił w sobie do szczętu szlachetniejszych popędów natury, ale pracy boi się jak ognia i w danej chwili nie ma dość siły oprzeć się ani namowom, ani pokusom. Takie niedołęztwo charakteru, którego nie zahartowano wychowaniem doprowadza do upadku bohatera komedyi. Przegrawszy tysiąc rubli na słowo i nie mogąc nigdzie dostać pieniędzy, Zyzio okrada własną matkę a raczej siostrę, której tysiąc rubli przeznaczone na wyprawę matka przez zapomnienie zostawiła w jego mieszkaniu. Postępek Zyzia w lekkomyślności ma źródło; nie jestto, jak już zaznaczyliśmy wyżej, jedna z tych natur zbrodniczych, które przy pierwszym podmuchu złowrogich okoliczności gwałcą zuchwale prawa Boże i ludzkie; przeciwnie jestto organizacya słaba i niezaradna, wykołysana w chwiejnych zasadach o prawości i obowiązku, w danej chwili dopuszczająca się występku, który rozumowaniem uniewinnić usiłuje.

Kradzież odkrywa Emilija sierota wzięta na wychowanie przez starych Domeckich, rodziców Zyzia. Przysłana przez panią Domecką po pugilares znajduje go rzeczywiście w mieszkaniu Zyzia ale pustym. Emilija kochała Zyzia jeszcze przed jego wyjazdem za granicę, ale taiła głęboko tę miłość w swem dziewiczem sercu, z boleścią patrząc na puste, bezcelowe, żadną poważniejszą treścią niewypełnione życie ukochanego. Teraz, widząc że dopełnił miary występku, dziewica wybucha nagle; z łagodnej i cichej staje się groźną jak piorun,—uczucie jej kona pod nadmiarem pogardy a w tej walce wśród gradu wyrzutów, upokarza człowieka, którego niegdyś kochała ostatnią zniewagą, wyznaniem tej miłości, którą splamił i zabił.

Należało się spodziewać, że ta miłość zbawi Zyzia i tak się też stało. Bohater komedyi opuszczony przez opiekuna i doradcę Szerszenia, który go porzuca jak wyciśniętą cytrynę, trapiony przez lichwiarzy, przejęty wstydem i obawą gniewu rodziców, dowiaduje się w chwili stanowczej,że Emilija poświęciła dobrowolnie cały swój posag, tysiąc rubli aby ukryć przed rodzicami jego czyn haniebny. Świadomość tej ofiary potęguje w duszy Zyzia pragnienie rehabilitacyi, wzbudzone już w chwili odkrycia kradzieży przez Emiliję. Zyzio wyznaje swą winę i spieszy rozpoczynać życie na nowo jako prosty robotnik górniczy, pod kierunkiem młodego inżyniera Bronisława, który zaślubia jego siostrę.

Z tą główną akcyą łączy się jeszcze mały epizod uboczny, mianowicie zabiegi pana Jerzego, zapalonego plantatora buraków z Gostyńskiego o rękę a raczej o posag Karoliny siostry Zyzia.

Z materyałów złożonych w treści,której skreśliliśmy szkic pobieżny, mogła była rzeczywiście zrodzić się komedya o scenach dosadnych i charakterach wybitnych, gdyby autorka nie zapragnęła koniecznie połączyć z akcyą utworu ogólnikowej tendencyi pedagogicznej w kształcie morału: że złe wychowanie prowadzi za sobą złe życie. Przeprowadzenie takiego tematu przez kombinacye sceniczne, rozmija się zasadniczo z podstawami i warunkami sztuki dramatycznej. Dramat nie zajmuje się nigdy badaniem odległych przyczyn, danych uczynków, lub namiętności,—zakresem jego pobudki bezpośrednie i konsekwencye ostateczne. Dramat nie może odpowiedzieć na pytanie: „kto winien"?—ale raczej: „jak wielką jest wina w danych warunkach sytuacyi i charakteru"?

Zapomniawszy o tej apodyktycznej zasadzie, autorka wprowadziła do utworu postać matki Zyzia, w głównych konturach dobrze zarysowaną i prawdziwą, ale dla komedyi niepotrzebną. Zyzio ukazuje się nam młodzieńcem już skończonym, matka nie ma na niego żadnego wpływu. Słucha on pokus Szerszenia, słucha instynktów i popędów swej próżniaczej natury, ale do matki nie idzie po radę. Znaczenie więc postaci matki jest bierne i nie wyjaśnione. Cały jej pobyt na scenie jest niejako symbolem tych wpływów, które w odległej przeszłości zasiane w duszy bohatera, doprowadziły konsekwentnie do smutnych następstw teraźniejszości. Dla widza jednak z natury rzeczy związek przyczyn i skutków musiał pozostać zatraconym, gdyż widz dowiaduje się od samego początku, że Zyzio był przez lat kilka za granicą, że ma swego złego ducha w osobie barona Szerszenia i otacza go złe towarzystwo szulerów i próżniaków. W obec tych wpływów chwili bieżącej, rola matki schodzi prawie do zera.

A jednak jest to rola, którą autorka ze szczególniejszą traktowała troskliwością zamykając w niej tendencyjną stronę utworu.

Natomiast postać barona Szerszenia, została pochwyconą żywo, prawdziwie, przedstawioną oryginalnie. Szersień reprezentuje pieczeniarstwo w najcyniczniejszej, najwyuzdańszej formie. Nie owe unizone do płaskości, otaczające pańskie stoły z wieczną daniną pochlebstwa i służalczego dowcipu, ale inne, rzekłbym arystokratyczne, zuchwałe, imponujące zaślepionej szlacheckiej młodzi tytułem i tradycją świetnych stosunków, narzucające się jako łaska, niebezpieczne i bezwstydne. Autorka nie szczędziła tej postaci silnych rysów charakterystycznych, szkoda tylko że samo położenie szczególnego nacisku na tendencyą uszczupliło miejsca dla rozwinięcia się takiego Szerszenia w działaniu.

Jest jeszcze kilka innych postaci bardzo szczęśliwie pomyślanych. Służący Damazy piorunujący na hulanki,rozpustę i niemoralność panów, a jednocześnie spijający resztki ponczyku i chowający do kieszeni co się da, naszkicowany został z poczuciem prawdy na tle jaskrawego humorystycznego kontrastu. Buraczarz Jerzy traktowany również z humorem, chociaż nie zawsze wolnym od przesady. Najsilniej wszakże zwraca uwagę, szlachetna postać Emilji, chociaż na nieszczęście nietyle tem, czem jest w komedyi, ale tem czemby być mogła!

„Jakto?—powiada sobie krytyk—ta dziewica kochająca z taką godnością, umiejąca w danej chwili zwyciężyć uczucie i wybuchnąć pogardą, poświęcająca się wreszcie w tajemnicy dla ocalenia sławy człowieka, którego już kochać przestała,—ta kobieta zamyka swe działanie w jednej tylko scenie boleści i wyrzutów? Dla czegoż nie miałaby walczyć, oddziaływać na ukochanego, wyrwać go z otchłani, w której tonie"?

Na pytanie to odpowiedzieliśmy już, o ile nam się zdaje, w dotychczasowym rozbiorze sztuki. Autorka zbyt zajęta myślą przewodnią, traci czas na ekspozycję charakterów biernych, matki Zyzia, ojca Zyzia i samego Zyzia, skutkiem czego dla figur oddychających pełnią scenicznego życia, braknie jej miejsca.

Wadliwość pomysłu przebija się najwyraźniej w całej budowie sztuki do tego stopnia, że każda niemal scena nie mająca związku z tendencyą, tryska życiem, prawdą i werwą. Dość tu przypomnieć krótki monolog Damazego, albo scenkę, w której buraczarz Jerzy nabrawszy wątpliwości co do posagu Karoliny, stara się wycofać z należnem dla panny współczuciem i nagle otrzymawszy z własnych jej ust kategoryczne zapewnienie, że go nie kocha, zmienia front i odgrywa rolę zrozpaczonego niepocieszonego kochanka.

Jedyna scena o nastroju dramatycznym, rozmowa Zyzia z Emiliją po odkryciu kradzieży, pomyślana i prowadzona przez autorkę bez zarzutu, zepsutą została w wykonaniu przez panią Borkowską, która recytowała deklamacyjnie swą rolę zaniedbując wszelkiego cieniowania sprzeczynch uczuć.

Streszczamy w całości wyrażone wyżej poglądy. Zyzio jest nieudaną próbą wyższej, tendencyjnej komedyi. Zawiera kilka scen rodzajowych wybornego rysunku i retuszu, kilka postaci tworzonych samodzielnie, acz niedokładnie rozwiniętych. W stosunku do poprzednich prac pani Mellerowej, jest dążeniem wypłynięcia na szersze widnokręgi komedyopisarstwa, które powinno zachęcić autorkę do staranniejszego liczenia się w przyszłości z trudnościami i niebezpieczeństwami żeglugi. Chcemy mieć nadzieję, że z nową wyprawą pani Mellerowa niedługo zwlekać będzie.

Gra artystów odznaczała się szczerem poszanowaniem oryginalnego utworu.. Pan Leszczyński w granicach zakreślonych przez autorkę był doskonałym typem arystokratycznego pieczeniarza. Rozległa skala talentu tego artysty w coraz silniejszych i bogatszych występuje barwach. Pani Niewiarowska grała matkę Zyzia z subtelnem cieniowaniem szczegółów, jakie rzadko zdarzyło mi się spotkać u tej artystki, która zazwyczaj oddaje wybornie tylko głównie kontury roli; panna Popiel małą rolkę Karoliny, natchnęła naiwnym, pieszczotliwym wdziękiem, który jej zawsze jedna sympatyę widzów, pan Prazinowski jako inżynier Bronisław, uwydatnił dwie ważne zalety: głos sympatyczny i wprawne ruchy. Wreszcie lokaja Damázego grał p. Damse z humorem szczerym i zamaszystym.

Gra p. Tatarkiewicza jako Zyzia zasługiwałaby na szerszy rozbiór. Artysta w uchwyceniu zarysów postaci dał dowody intelligencyi, zapału umiejętnie miarkowanego, wielkiej swobody akcyi i dykcyi przy umiejętnem wycieniowaniu przejść w tej roli bardzo trudnych. Na szczególniejsze uznanie zasługuje scena kradzieży i bezpośrednia po niej rozmowa z Emiliją, mniej szczęśliwie wyszedł akt skruchy, i rehabilitacyi, gdzie w twarzy artysty nie odmalowały się dość wyraziście wzruszenie wewnętrzne, rodzące postanowienie.

P. Łukowicz (hr. Albin.) musiał grać dobrze skoro wygrał tysiąc rubli.

*K. Łuniewski.*

---

# Rzeczy bieżące.

Jesteśmy obecnie w porze zupełnego lata, mieliśmy grzmoty a mamy upały, teatra ogródkowe, kąpiele wiślane i wycieczki zamiejskie bez dodatku zimna i śniegu. Wszystko to jakoś tak stało się nagle, że zmiana ta i cieszy nas i dziwi zarazem.

Teatr letni w Saskim ogrodzie rozpoczął swój żywot przedstawianiem nowej komedyi Zofji Mellerowej p. t. Zyzio, która pomimo zalecenia przez komitet konkursowy krakowski, nie znalazła zbyt pochlebnego uznania zarówno przez krytykę jak i publiczność. Za bardzo przeważa w niej myśl, jakkolwiek zacna przedstawienia skutków rozpieszczenia i złego wychowania, ale nadto rozwałkowana, przemieniająca cały sceniczny utwór nie w siatkę zręcznie utkanej intrygi, dra-

matycznem jej rozwikłaniem utrzymującej widzów w ciągłem zaciekawieniu, ale w morał wprawdzie poczciwy ale wcale nie bawiący. Jest to wadą wszystkich początkujących pisarzy, czy to powieściowych, czy dramatycznych, zapominających, że to co oni wiedzą pod względem czystej moralności, to znają to dobrze wszyscy przyszli ich czytelnicy i widzowie, i że ci wcale nie pragną nudnego ich powtórzenia, ale odwzorowania życia ludzkiego wbrew tym przyjętym prawdom rozwijającego się. Jest to zadanie naturalnie niełatwe, morały prawić można bez żadnego talentu, ale zamknąć go w akcyi a domówienie morału zostawić widzom, zająć ich, zabawić, zaciekawienie utrzymać w jednem naprężeniu aż do zapadnięcia kurtyny, potrafi tylko talent i to wcale nie tuzinkowy.

Dla posiadających go pisarzy, wprawa jest konieczną, a nabyć jej można jedynie przez ułatwienie przedstawienia nowo pojawiających się utworów. U nas trudno o to jakoś.

Publiczność chętną jest zawsze oryginalnym utworom dramatycznym, i niech tylko przymioty w nich przeważają wady, niech tendencye mają szlachetne, zgromadzą się zawsze licznie na każde przedstawienie. Dowodem tego Pozytywni: i w tej komedyi znać pisarza początkującego, znać brak wprawy w zręczności układu scenicznego i w przebiegu akcyi: jest to nie komedya właściwie, tylko wiązanka kilkunastu obrazków w jednej myśli przewodniej z sobą połączonych. Że jednak wszystkie ożywia dramatyczność i szczery humor, a tendencya sama z akcyi przemawia, sztuka cała podoba się i długo utrzyma się na naszej scenie. Przyjęcie jej chętne fakt to wiele znaczący: jest to protestacya przeciw materyalizmowi pod osłoną pozytywizmu, wciskanem gwałtem w naszą społeczność. Mała ta próbka powinna być nauczającą dla naszych pozytywistów warszawskich; starajmy się prostować mylne pojęcia, podnośmy teorye pominięte, łączmy je z mającemi dotychczas przewagę, wspierajmy jedną przez drugą, ale nie wmawiajmy, że wszystko co było, nie ma żadnej wartości, że trzeba rozbrat wziąść z przeszłością, a rozpocząć nową erę, jakby ta dała się stworzyć jednem pociągnięciem.

— Koncert panny Braciszewskiej bardzo potępionej w pierwszem jej na scenie wystąpieniu udał się najwyborniej. Sala resursy obywatelskiej była przepełnioną, z gorąca ledwo oddychano, ale nie szczędzono oznak wielkiego zadowolnienia! Nie ma wątpliwości, że przy studyach nad pozbyciem się niektórych właściwości ujemnych w jej głosie, panna Braciszewska wykształci się na bardzo pożądaną w naszym teatrze artystkę, byle tylko nie potrzebowała dla swego talentu szukać teatrów zagranicznych.

— Założenie Towarzystwa wzajemnej pomocy literatów, zaprząta wszystkie tutejsze pisma jako kwestya niezmiernie ważna. Wprawdzie już o niej dawno była mowa, a nawet ułożono warunki, ale co się stało z całym projektem nie wiemy.

Myśl podniesioną na nowo witamy ze szczerem zajęciem, mając nadzieję, że tą razą może nie spełznie na niczem. Przedewszystkiem, zdaje się nam, że główną myślą przyszłego Towarzystwa powinno być rachowanie na własne siły, czyli członków do niego należących i płacących składki ustawą oznaczonej. Wszystkie bowiem wyrachowania na dary, zapisy, pomoce nadzwyczajne, ofiary wreszcie dobrowolne stale oznaczone, uważamy za bardzo niepewne. Przyjąć je można, ale cały los Towarzystwa ubezpieczać na nich to niepraktyczne, i aby to znalazło się w przyjaznych warunkach rozwoju, powinny być użyte środki w rzeczywistej wzajemnej pomocy biorące początek.

Redakcya Kuryera codziennego w szlachetnem poczuciu ważności Towarzystwa, zobowiązała się do płacenia miesięcznie po rubli 10 wzywając i inne redakcye do podobnej ofiary, które z pewnością pomocy swej nie odmówią. Czy jednak na wpływ ten ciągły można liczyć z pewnością?

Wydawnictwa to przemysł, a ten bardzo chwiejny w swem powodzeniu, wreszcie zmieniają się osoby a te nie zawsze sposób zapatrywania się swych poprzedników podzielają. Wpływ więc z tego źródła może się uszczuplać a nawet i zniknąć zupełnie, boć egzekucyi do dobrowolnych ofiarodawców nie można stosować. Wreszcie będzie to zawsze dobroczynność po części a nie wzajemna pomoc, którą literaci głównie polecając, powinni i czynem dowodzić, że jej za puste słowa nie uważają.

Literatów nie liczymy jednak na tysiące, a tylko wielka liczba członków byt każdego stowarzyszenia zapewnia, czyby więc literatów nie dało się połączyć z malarzami, rzeźbiarzami, drzeworytnikami, księgarzami, a nawet z drukarzami, litografami i fotografami, a towarzystwu nadać tytuł wzajemnej pomocy artystów.

Są to po części różnorodne kółka, z literaturą jednak i artyzmem ściśle złączone, że jednak każde oddzielnie utrzymaćby się nie mogło, więc w widokach wzajemnego dobra powinny się połączyć, a byt Towarzystwa byłby zapewniony.

— Mieszkanie letnie dla dzieci, urządzone już zostało jak donosi Kuryer Codzienny w Rudzie Guzowskiej i z dniem 1-ego Lipca otworzonem zostanie. Jest to nowość wielce pożądana: nad młodemi mieszkańcami przyjmowanemi od dziesięciu lat wieku, rozciągnięty będzie nieodstępny dozór i rodzicielska opieka. Według programu codziennego życia, wszystko ma tam być skierowane tak, aby przechadzki, zabawy, gimnastyka, wycieczki dalsze, konna jazda, i inne zajęcia odpowiadały celom sanitarnym tyle pożądanym w wychowaniu młodzieży. Mieszkanie obszerne bliskość pola, lasu i banhofu kolei żelaznej, warunki wielce w podobnem przedsiewzięciu pożądane są tu w zupełności zachowane.

Na początek urządzone zostało miejsce dla 15 osób, z których pięć zostało już zajętych.

— Instytucya kuchni tanich cieszy się, że deficyt w jej wydatkach pokryty zostanie choć w części wpływem z dochodu pierwszych przedstawień teatrów ogródkowych na ten cel przeznaczonych. To współczucie entreprenerów teatralnych godne uznania, ale warto się nad tym przedmiotem cokolwiek bliżej zastanowić. Kuchnie tanie, to miejsce publiczne, do którego każdy ma wstęp, czy Paweł czy Gaweł, byle za obiad miał czem zapłacić.

Nie sami więc biedni z tego korzystają, jest wielu takich co pożywienie w kuchni taniej uważają za więcej ekonomiczne, są majstrowie nawet zamożni, co wszystkich swych uczniów do niej posyłają, znajdują się wreszcie i chciwcy, co dla oszczędzenia dziesiątki, ten sposób karmienia się przekładają nad inny. Dla takich więc dawanie obiadów niżej kosztu rzeczywistego, skoro deficyty powstają nie jest zgodne ze ścisłą sprawiedliwością. Dobroczynność ludzka powinna dobrze czynić, ale nie być marnowaną dla tych którzy choć z niej korzystają ale zupełnie tego nie potrzebują. Kontrola więc ściślejsza powinna tu być zaprowadzoną.

— Orkiestra złożona z uczniów Instytutu muzycznego, z niedzielą dzisiejszą rozpoczyna swoje wystąpienie w Dolinie Szwajcarskiej. Jakby to pożytecznie było, gdyby się utrzymała przez całe lato w miejscu tak ulubionem przez Warszawiaków. Cyrk sztucznych jeźdźców p. Godfroya ma także dziś jeszcze podobno rozpocząć swoje przedstawienia, nie braknie więc Warszawie rozrywek tak zawsze pożądanych, szczególniej też w porze zbliżającego się jarmarku na wełnę.

— Opera Moniuszki Straszny dwór wznowiona przed tygodniem, z ogromnym zapałem powitaną została przez publiczność Warszawską. Jest to arcydzieło muzyczne, pomimo charakteru czysto miejscowego, jeszcze większą dla nas mającego wartość, godne współzawodniczyć z najgłośniejszemi podobnemi utworami zagranicznemi.

To też każde przedstawienie teatr przepełnia i jesteśmy przekonani, że już nie setne ale tysiączne równą liczbę zgromadzi słuchaczy.

— Przyrzekliśmy w ostatnim numerze, ogłaszanie doniesień gazeciarskich, w kilka dni później prostowanych jako fałszywych. Otóż czytamy odwołania, że dwa ogłoszone bankructwa nie nastąpiły, że malarz Gierymski nie tylko nie umarł ale nawet nie chorował, i cieszy się najlepszem zdrowiem, i że wreszcie mularz co spadł z rusztowania i miał się zabić na miejscu, żyje i jest rzeczą pewną, że choć mocno potłuczony do zupełnego zdrowia powróci.

Dziwne są także dwie kwestye: dwa pisma nasze i dwa petersburgskie drukowały stenograficzne sprawozdanie z posiedzenia akcyonaryuszów drogi żelaznej nadwiślańskiej, i oba w pewnych punktach różne. Są wprawdzie wyjaśnienia tej niezgodności, ale już to samo jest znaczące że się okazały potrzebne.

Kumys także ulega pewnej wątpliwości: mamy dowodzenia że przyspasabiany z krowiego mleka niczem się nie różni od robionego z mleka klaczy, i znów przeciwnie, że Kumysowi z mleka klaczy nigdy nie dorówna krowi. Gdzież tu więc jest prawda?

## Od Redakcyi.

Przy kończącem się pierwszem półroczu r. b. upraszamy o wczesne przesyłanie należytości prenumeracyjnej na Tygodnik Mód i Powieści na dwa następne kwartały, i to najlepiej wprost do Redakcyi pod adresem poniżej wskazanym. Jest to bowiem najpewniejsza droga, aby pismo nasze w przesyłce dalszej zwłoki nie doznało. Warunki prenumeraty pozostają też same a mianowicie:

w Warszawie **Kwartalnie r. s. 1 kop. 80**
na Prowincyi i w Cesarstwie
**Kwartalnie . . r. s. 2 kop. 50**
**Półrocznie . . r. s. 5 — —**

Z powieści oryginalnych będziemy drukować prace pani E. Orzeszkowej, J. I. Kraszewskiego i innych naszych pisarzy.

*Adres.* Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci w Warszawie ulica Żabia Nr. 956.



Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

**Dodatek**

## Opis do N. 24.

N. 1. **Ubranie** dla małej panienki.

Sukienka i vêtement mogą być w dwóch cieniach jednego koloru, albo w odmiennych stosownie dobranych kolorach, n. p. popielatym i czarnym *écru* i bronzowym, lub t. p. Na ryc. 1 ciemna spódniczka jest ułożona w zaprasowane fałdy, a jasne *vêtement* bez rękawów przykrawa się podług formy do ryc. 4—5 w N 16. Tygodnika, i zdobi pliskami tego co spódnica koloru, z którego także jest pasek i kołnierz. Na ciemnych rękawach sukni skośne na guziki zapinane patki, są z jasnego materjału.

N. 2. **Biała** pikowa sukienka dla dziecka od lat 1—2.

Podług znanéj bluzkowéj formy przykrojona sukienka biała pikowa u dołu wycięta jest w zęby, oszyte szeroką bawełnianą plecionką; pod zęby podszywa się gładko 2—3 centy. szeroki szlaczek haftowany na batyście. Także węższy garnirunek zdobi wykrój stanika i krótkie rękawki, pasek i kokardy są ze wstążki niebieskiéj.

N. 3. **Ubranie** dla chłopczyka.

Krój jak do ryc. 2 w N 8 Tygodnika.

Bluzka i majtki z sukienka granatowego, ozdobione są w sposób na ryc. 3 wskazany, szeroką czarną wełnianą taśmą i takiemiż guzikami. Marynarski kołnierz i klapy na rękawach są oddzielnie wykrojone i taśmą naszyte. Przody bluzki przez całą długość podszywa się listwą 6 cent. szeroką, przyozdabia szamerowaniem i urządza do zapinania na guziki i pętelki.

N. 4—9. **Guziki** z pasmanteryi.

Podajemy kilka odmiennych guzików, różnego kształtu i wielkości, które z łatwością odrobić można własnoręcznie. Guziki N. 4, 5 i 9 obszyte są materyą, następnie pokryte grubym jedwabiem, ściegiem dzierganym lub szydełkowym, i naszyte perełkami lub dżetem. Wypukły guzik N. 6 naszyty jest podłużnie, naprzemian rzędami perełek i jedwabnego sznureczka. N. 7 pokrywa robota szydełkowa z pikotów nawijanych i o. ści.; środek zapełniają długie, nawijane pikoty, przedzielane perełkami, brzegi pokrywa się gładko o. ścisłemi. Guzik N. 8 zaczyna się kilku ścisłemi, w koło obrobionemi rzędami, do których dodaje się w górę i na dół długie, powietrznemi o. przedzielane słupki, podług formy przyciągnięte i w środku perełkami ozdobione.

N. 10. **Połączone** litery do znaczenia chustek, prześcieradeł i poszewek.

Znak ten odrobiony na chustce z niewarowego, jedwabnego bastu, której stębnowany obrąbek ozdobiony jest wązką, czarną jedwabną listewką. Biało haftowane litery, mają z brzegu czarną, stębnowaną obwódkę.

N. 11. **Wyszycie** z kręconego jedwabnego sznura i szlifowanych perełek, do przyozdobienia mantyl, pelerynek itp.

N. 12. **Rozeta** z ząbków z tasiemki i roboty szydełkowej na serwetki i do poduszeczki N. 14.

Materjał: Bawełna szydełkowa N. 40, ząbki z tasiemki 2 cent. szerokie. Środkową rozetkę układa się z 8 ściśle w środku zeszytych ząbków, i obrabia robotą szydełkową, złożoną z oczek powietrznych i ząbków z pikotami, robionych w jedno oczko powietrzne. Wielkość ząbków i ilość pikotów, powiększa się stopniowo w każdym rzędzie, w sposób na ry. 12 wskazany. Trzy rzędy takich ząbków obrabia się równo z brzegu o. pow., do których przyczepia się ząbki z tasiemki, a do nich przyrabia ostatni rząd zębów szydełkowych.

N. 13. **Rozeta** szydełkowa na serwetki lub tp.

Kółko z o. pow. obrabia się w koło ząbkami i pikotami z oczek pow. których ilość powiększa się stopniowo w każdym rzędzie. Wykończywszy środek rozety zamierzonej wielkości, dorabia się poprzecznie, szlak na ryc. 13 wskazany; w sposób następujący. Jedno oczko ścisłe zaczepione za ząbek, * 23 o. pow. złączone w kółko, 1 o. ści. w *4-te* o. powie. od początku; dalej na pierwszą połowę gwiazdki, obrobić na kółku 2 o. ści. 3 o. pow. 2 słup. razem, jedną złączone pętelką, 3 o; pow. 1 o. ści. 3 o. pow. 2 słup. jedną przerobione pętelką, 3 o. pow. 1 o. ści. 3 o. pow, 2 słup. jedną przerobione pętelką, 2 o. ścisłe. Na pierwszą połowę drugiej gwiazdki powtórzyć od *: trzecią gwiazdkę zacząć 23 o. powietrznemi i obrobić 8-miu listeczkami, w sposób wyżej opisany; po ostatnim listku dodać 2 o. ści. i 3 o. powietrzne. Teraz dokończyć dwie początkowe gwiazdki, w taki sposób jak były zaczęte; obrobić pozostałe o. pow. o: ściś. zająć jedno o. ści. w ten sam ząbek, co początkowe oczka ścisłe zrobić 7 o. pow. przyrobionych 1. o. ścis. do drugiego ząbka, i robić figurę następującą. Nakoniec dwie początkowe gwiazdki figur zczepić ze sobą igłą, ściegiem krytym, a gwiazdki ostatnie złączyć długiemi słupkami w sposób na ry. 13 wskazany.

Wyżej opisanym szlakiem można obrobić małą okrągłą serwetkę z piki białej lub z batystu.



N. 1. Suknia z polonezką dla dziewczynki. N. 2. Pikowa sukieneczka dla dziecka. N. 3. Ubranie dla chłopca.

N. 14. **Poduszeczka** do igieł. Zobaczyć ryc. 12 i 13.

Dwa płócienne okrągłe denka, mające 16 centy. średnicy, zeszyte razem i napełnione otrębami, stanowią poduszeczkę do zawieszania, którą z wierzchu i ze spodu pokrywa się kolorową materyą i rozetami szydełkowemi. W koło na zeszyciu dodaje się riuszę ze wstążki $2^1/_2$ centy. szerokiéj; na fałdkach naszyte są maleńkie czarne jedwabne szmuklerskie guziczki, albo duże czarne perełki. Do zawieszenia służą wstążki złączone kokardą.

N. 15. **Mała** lambrekina do koszyczka albo półeczek.

Zęby lambrekiny odziergane ciemniejszym kolorem, i oszyte wązką frenżelką zdobią na przemian kwiatki płaskim ściegiem haftowane i pączki wycinane z kolorowego kretonu, przydziergane, lub ściegiem sznureczkowym przyszyte. Każdy haftowany kwiatek może być innego koloru, jak też i z kretonu można co raz odmienne wycinać gałązki.

N. 16. **Wstawka** do spódnic, majtek i t. p.

Tasiemeczka mignardise i robota szydełkowa z pikotami nawijanemi.

N. 17—20. **Kapturek** z chustki kwadratowéj robionej na drutach.

Materjał: 60 gramów białéj kaszmirowéj albo cienkiéj angielskiej włóczki, 2 cienkie drewniane druty, tuzin maleńkich, szmuklerskich pąsowych guziczków, 2 białe jedwabne kwasty łokieć wstążki pąsowéj 6 centy. szerokiéj.

Taki kapturek można zarówno odrobić z kawałka białego kaszmiru, materyi, albo innej miękkiej tkaniny, trzymającej 70 centy. w kwadrat, jak i z włóczki cienkiej na drutach. W tym ostatnim razie, kwadrat zaczyna się na ocz. 180; obrabia gładko tam i napowrót 180 razy i zakończa luźno. Następnie wodą z trochą gelantyny zwilża przez płócienną chustkę, rozciąga równo, a gdy przeschnie załamuje się skośnie od jednego rogu do drugiego, zakłada z tyłu przez środek fałdę na ryc. 19 wskazaną, od przodu mającą 3 centy. a w końcu dolnym do 17 centy. szerokości, którą od środka zczepia się nieznacznie a z wierzchu naszywa szlakiem i zdobi w odstępach maleńkiemi guziczkami pąsowemi.

Z przodu kapturek oszyty jest także szlakiem, robionym na drutach podług próbki N. 20; nad czołem przypięta kokarda pąsowa, końce ozdobione kwastami, a do zapięcia pod brodą przyszyte na założonej fałdzie dwa większe guziki i pętelka ze sznura.

Oszycie do kapturka, przedstawione w naturalnej wielkości na ry. 20, zaczyna się na oczek 7 i robi ciągle tam i napowrót pierwsze zaś oko każdego druta nie zdejmuje się tylko zawsze przerabia.

*Obrobienie 1.* * 2 o. gł., 1 przyb., 3 gład., 1 przyb. 2 gładko.

*Rząd 2.* 2 o. gład. 1 o. przy., 5 o. gład., 1 o. przy., 2 gładko.

*Rząd 3.* 2 o. gład., 1 o. przy, 1 gł, 1 gł. zgubić, 1 przy. 1 gł., 1 zgu., 1 gł., 1 przy., 2 gładko.

*Rząd 4.* 2 gł., 1 przy., 1 gł. 1 zg., 1 przy., 3 gł., 1 przy., 1 zg., 1 gł. 1 przy. 2 gładko.

*Rząd 5.* 2 gł., 1 przy., 1 gł., 1 zg., 1 przy., 2 gł., 1 przy., 1 zg., 1 gł., 1 przy., 1 zg., 1 gł., 1 przy., 2 gładko.

*Rząd 6.* 1 o. zgu., 1 gł., 1 przy., 1 zdjąć, następne gładko i zdjęte przewlec, 1 gł., 1 przy., 1 zdjąć i przez następne gł. zrobione przewlec, 1 gł, 1 zdjąć i przez następne przewlec, 1 przy., 1 gł., 1 zdjąć i jak poprzednie przewlec 1 przy. 1 gład. 1 zgubić.

*Rząd 7.* 1 zgu., 1 gł., 1 przy., 1 zd. i przewlec, 1 gł., 1 przy., 3 o. razem zg., 1 przy., 1 gł., 1 zd., i

N. 4. Wypukły guzik szmuklerski.

N. 5. Guzik naszyty perełkami.

N. 6. Guzik kulisty ze sznureczka i perełek.

N. 10. Litery łączone do znaczenia bielizny.

N. 7. Guzik pokryty szydełkową pasmanterją z perełkami.

N. 8. Mało wypukły guzik.

N. 9. Wysoki guzik szmuklerski.

przewlec, 1 przy., 1 gł. 1 zgubić.

*Rząd 8.* 1 zgu., 1 gł., 1 przy., 1 zd. i przewlec, 3 gł., 1 zdjąć i przewlec 1 przy., 1 gł., 1 zgubić.

*Rząd 9.* 1 zgu., 1 gł., 1 przy 1 gł., 3 razem zgubić, 1 gł., 1 przy., 1 gł. 1 zgubić.

*Rząd 10.* 1 zgu., 1 gł., 1 przy., 3 razem gładko, 1 przy., 1 gł., 1 zgubić. Powtarzać ciągle od gwiazdki *.

**N. 21. Narożnik** do kołnierzyka z tasiemki medaljonowej i w deseń przerabianej.

Gwiazdki z brzegu ułożone są z dwóch rzędów tasiemeczki, i o s z y t e wąziutką koroneczką; środek narożnika zapełnia się tasiemeczką, przerabianą w deseń i spajaną słupkami z kręconych nici.



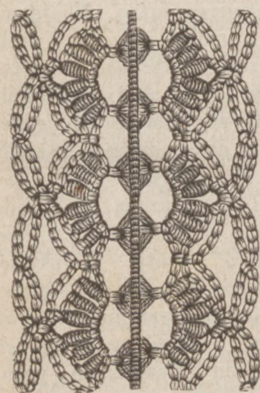
N. 11. Naszycie ze sznura jedwabnego i szmelcowanych perełek.

N. 12. Gwiazda z ząbkami z tasiemecczki, do ryc. 14.

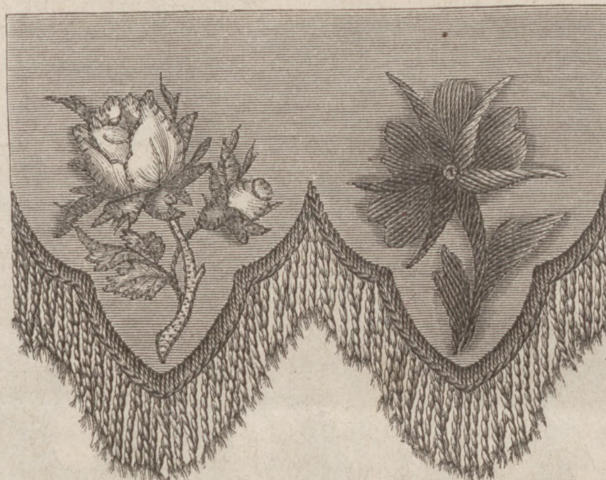
N. 13. Gwiazda robotą szydełkową. Odpowiednia do ryc. 14.

**N. 22. Kołnierzyk** z ażurowej, koronkowej tasiemeczki.

Pomimo łatwego i niepracowitego deseniu, kołnierzyk z takiej tasiemeczki jest bardzo ładny i strojny. Do kratek używa się nici koronkowych; wązkie odstępy pomiędzy tasiemeczką zapełnione są zwykłą kratką krzyżowana większe zarabiają kratą dzierganą, a owalne środki figur pajączkami. Brzeg kołnierzyka oszyty jest pikotami koronkowemi.



N. 16. Wstawka z plecionki mignardise i roboty szydełkowej.



N. 15. Wązka lambrekina do etażerek, koszyczków itp.

**N. 23. Szeroki** szlak z ażurowej, bawełnianej. tasiemki, koloru niewarowego, do przyozdobienia sukien, paltocików, parasolików i t. p.

**N. 24. Szlak** z tasiemki niewarowej lub białej kiprowanej.

Nowy ten i tańszy od innych gatunek tasiemki, daje przy bardzo małej pracy, mocną i strojną koronkę, nadającą się szczególniej do aksamitu, materyi, i wszelkich grubszych wyrobów.

**N. 25. Szlak** z tasiemki ażurowej, do chusteczki batystowej.

Deseń ten służyć także może do zwykłej gładkiej koronkowej tasiemeczki i stanowić bogaty szlak do sukien, vêtement, i t. p. Dobór i rozmaitość kratek stanowi wielką ozdobę tej koronki.

**N. 26—27. Kołnierzyk** ze szmizetką i haftowanym narożnikiem.

Ryc. 26 przedstawia wykończony i do małej szmizetki przyszyty kołnierzyk, którego stojący, haftowany pasek i narożniki wykładane, oszyte są waiansienką. Na ryc. 27 podajemy deseń haftu do narożnika, który odrobić trzeba atłaskiem na batyście; w miejsce koronki narożnik zakończony być może szerokim, stębnowanym obrąbkiem, do którego można także dodać wązką koroneczkę.

**N. 28. Narożnik** do kołnierzyka. Koroneczka z wązkiej plecionki i kratek.

Oddzielnie odrobioną koroneczkę naszywa się na płóciennym narożniku, wycina starannie płótno od spodu, a brzegi przyszycia przykrywa wązką, stębnowaną listewką, ozdobioną haftem supełkowym. Mankiety zawsze odpowiednie być muszą do kołnierzyka.

**N. 29—30. Dwa** mankiety z płótna kolorowego.

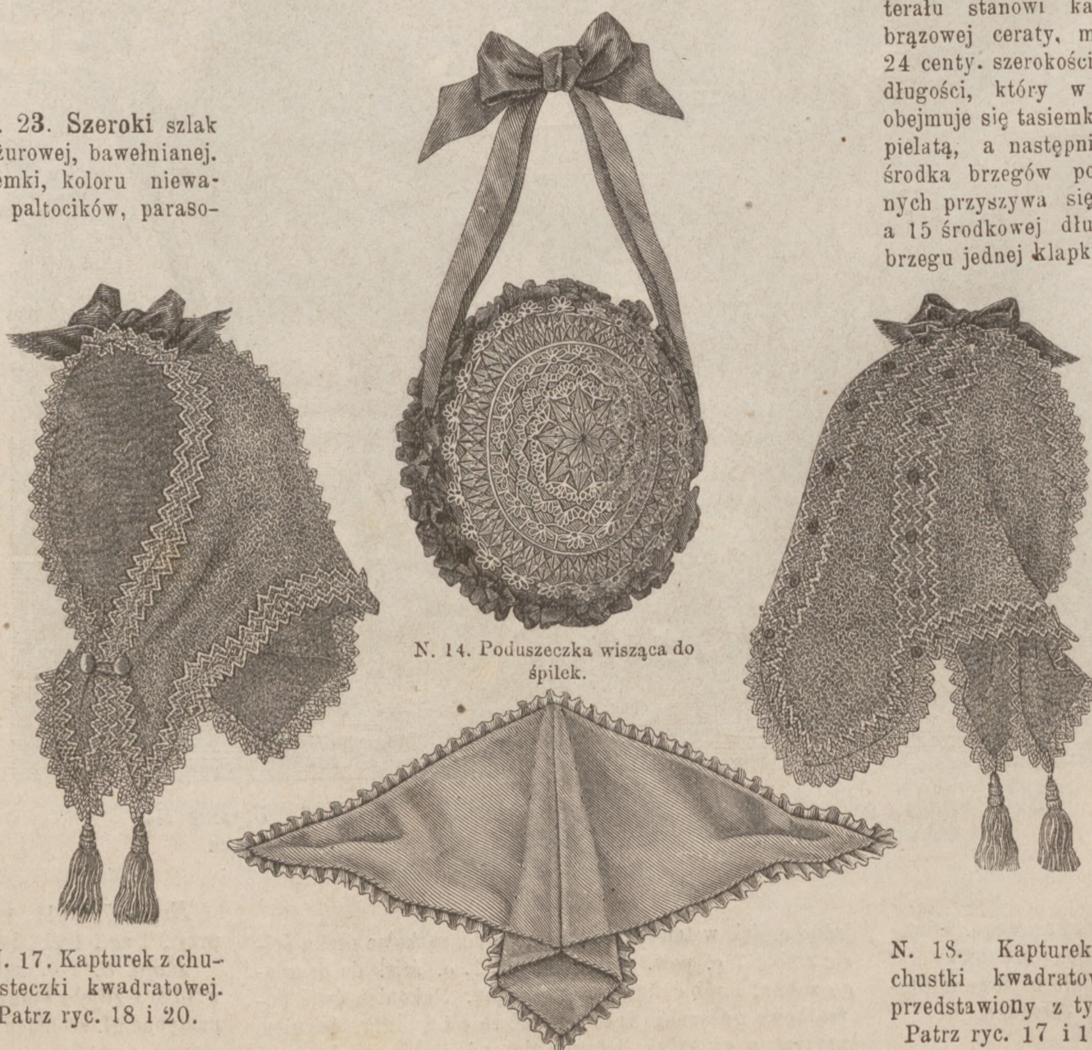
Ry. 29 przedstawia mankiet z płótna szafirowego, biało stębnowany i ogarnirowany plisowaniem z białego muślinu. Na ry. 30, mankiet z szarego płótna, ozdobiony jest pliskami białemi stębnowanemi i oszyty walansienką. Do obydwóch powinny być takie same kołnierzyki.

N. 20. Oszycie do kapturka ryc. 17—18. Robota na drutach.

**N. 31—33. Neseser** z przyrządami do czesania.

Zwierzchnią część futerału stanowi kawałek brązowej ceraty, mający 24 centy. szerokości a 33 długości, który w koło obejmuje się tasiemką popielatą, a następnie do środka brzegów podłużnych przyszywa się klapki, mające 11 cent. szerokości, a 15 środkowej długości, także tasiemką oszyte. Do brzegu jednej klapki przyszywa się guzik, a w drugiej przecina i odzierguje dziurkę do zapinania. Oprócz tego na środku każdej klapy przystębnowana jest poprzecznie, przez 3 centy. popielata tasiemka, której końce, 12 cent. długie, na kokardy zawiązane, przytrzymują wałek do loków, służący zarazem do lepszego zamknięcia futerału.

Podstawą wewnętrznego urządzenia, jest okrągły kawałek mocnego, szarego płótna, mający 55 cent. średnicy, z brzegu objęty tasiemką i ozdobiony wązkim szlaczkiem, wyszytym jedwabiem czarnym. Na środku tego okręgu naszyte są różne przegródki, kieszonki i listewki odstające, które służą do założenia szczotki, grzebieni, pomady lub olejku, i śpilek podwójnych. Wewnętrzne urządzenie, wskazane jest dokładnie na ryc. 31; deseń do wyszycia na tych przegródkach podajemy w naturalnej wielkości na ry. 33. Po wykończeniu, część ta przyczepia się nieznacznie na środku do futerału ceratowego, zaokrąglone brzegi zawijają do środka, ażeby uformować

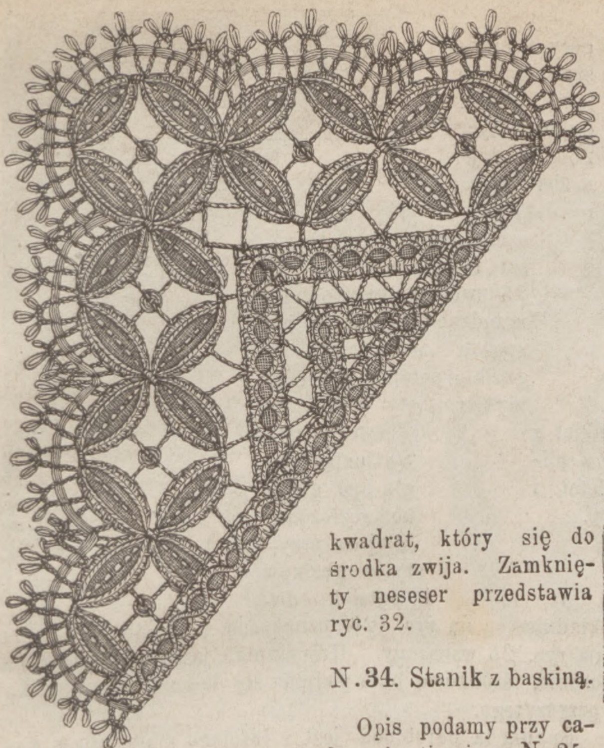


N. 14. Poduszeczka wisząca do śpilek.

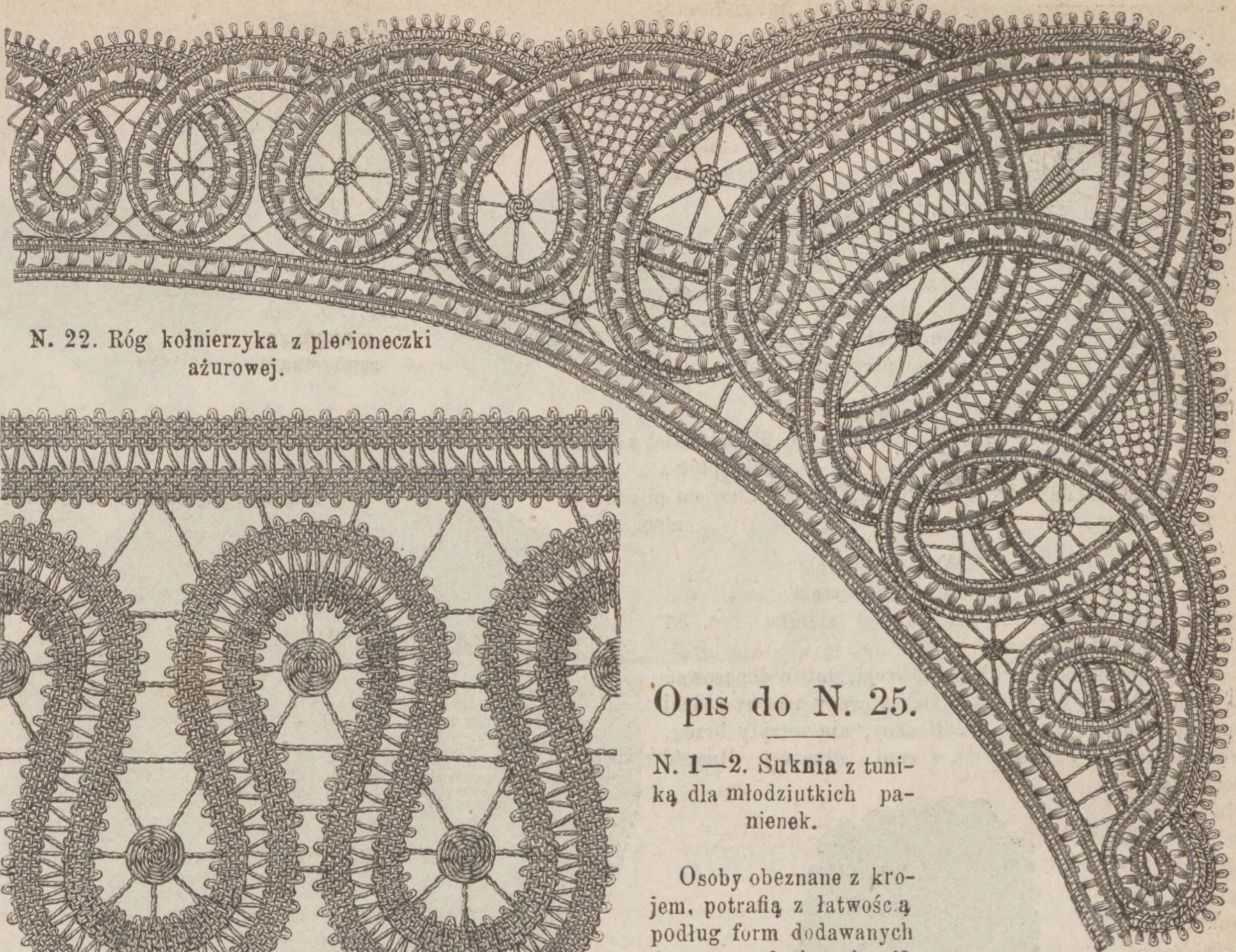
N. 17. Kapturek z chusteczki kwadratowej. Patrz ryc. 18 i 20.

N. 18. Kapturek z chustki kwadratowej przedstawiony z tyłu. Patrz ryc. 17 i 19.

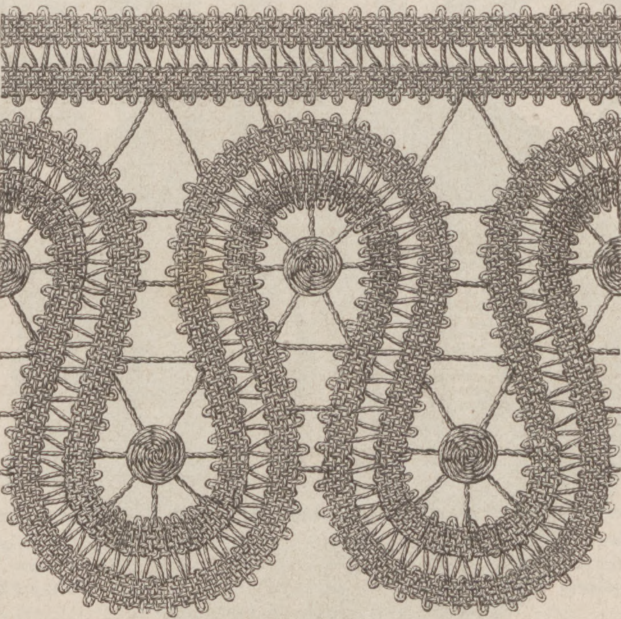
N. 19. Kapturek z chustki kwadratowej. Spód. Objaśnienie założenia fałdy, patrz ryc. 17—18.



N. 21. Róg kołnierzyka z plecionki medaljonowej i deseniowej.



N. 22. Róg kołnierzyka z plecioneczki ażurowej.



N. 23. Szeroka koronka z ażurowej plecioneczki écru. Do okryć, vêtement itp.

kwadrat, który się do środka zwija. Zamknięty neseser przedstawia ryc. 32.

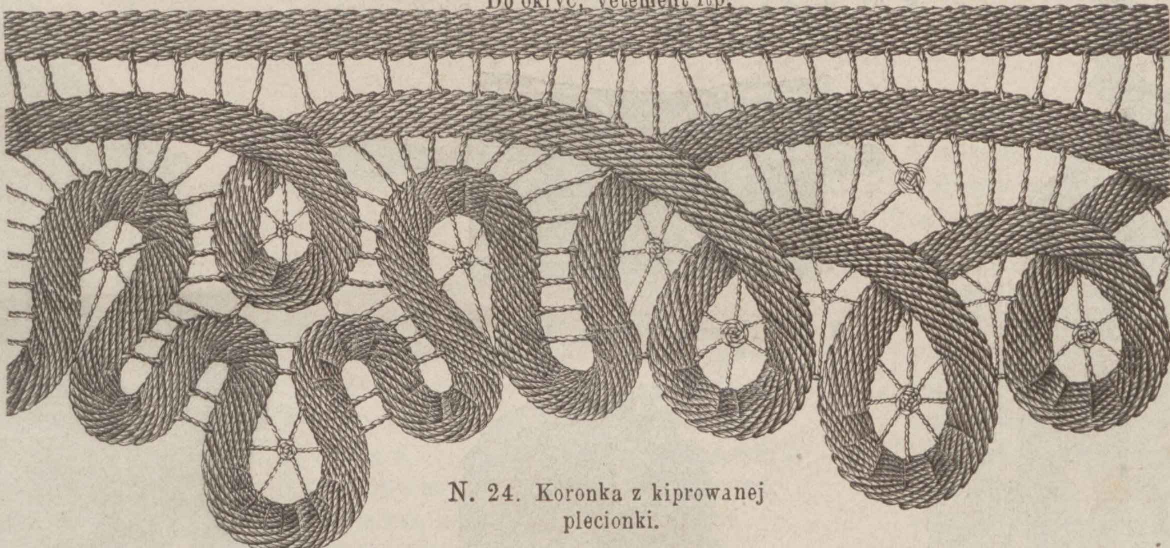
N. 34. Stanik z baskiną.

Opis podamy przy całym kostiumie w N. 25. Tygodnika mód.

N. 35. **Staniczek** bez rękawów z pasków materyi i wstawek z koronki wełnianej.

Krój jak do ryc. 6—7 w N. 22 Tygodnika mód.

Staniczek taki stanowi strojne i modne dopełnienie letniej sukni. Paski z materyi albo kaszmiru czarnego powinny być skośne, oszyte wypustkami, które dodać można z materyi kolorowej. Stanik podany na ryc. 35 odrobiony z kaszmiru czarnego z wypustkami z rypsu jedwabnego, i ze wstawek z koronki wełnianej, naszytej suto perełkami czarnemi, albo też stalowemi. Koronki écru, które zarówno do czarnych jak i do wszelkich niewarowych odcieni są używane, nie powinny być naszywane perełkami. Kokardy zdobiące stanik są ze wstążki kolorowej.



N. 24. Koronka z kiprowanej plecionki.

N. 36. **Stanik** pod szyję z ubraniem w kształcie napierśnika.

Krój jak do ryc. 28—29 w N. 18 Tygodnika.

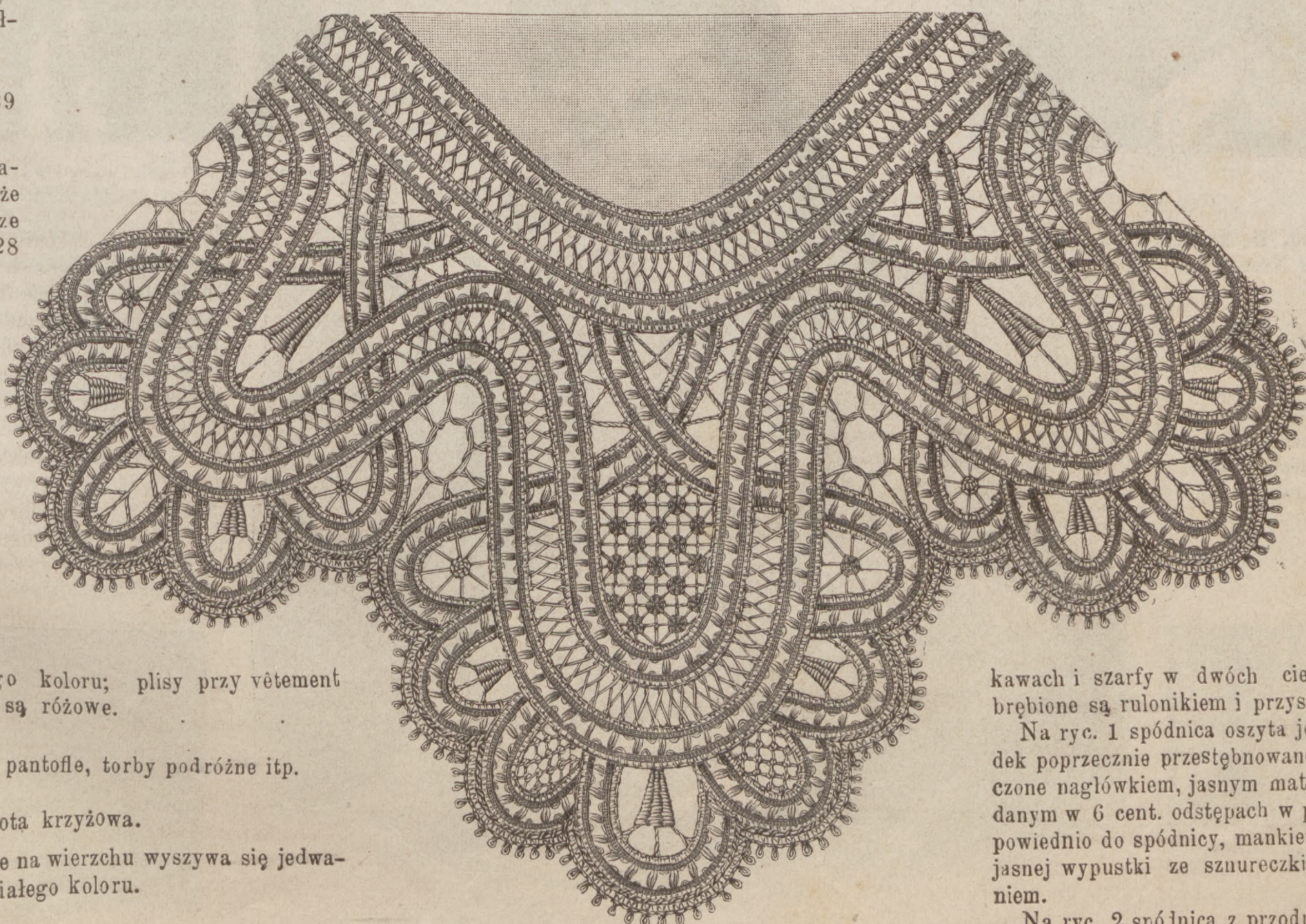
Tak dziś modne ubranie napierśnikowe, może być krajane razem ze stanikiem jak na ryc. 28 w Nrze. 18 Tygodnika, albo odrobione oddzielnie i przypinane na każdym gładkim staniku. Ryc. 36 przedstawia suknię z srebrno popielatej alpagi z napierśnikiem różowym, objętym pliską srebrnego koloru; plisy przy vêtement i ubranie na rękawach, są różowe.

N. 37. **Deseń** na pantofle, torby podróżne itp.

Robota krzyżowa.

Długie ściegi dodane na wierzchu wyszywa się jedwabiem maisowego albo białego koloru.

---



N. 25. Koronka do chustki od nosa.

## Opis do N. 25.

N. 1—2. **Suknia** z tuniką dla młodziutkich panienek.

Osoby obeznane z krojem, potrafią z łatwością podług form dodawanych do poprzedzających N. Tygodnika, dopasować vêtement przedstawione na ryc. 1—2. Przody zbliżone są do przodów u kaftanika na ryc. 30 w Nr. 19 Tygodnika mód, tylko muszą być przedłużone i do figury dopasowane przez zaszycie zakładek. Boczki i plecy gładkie załączone do ryc. 18—19 w N. 22 Tygodnika, służyć mogą za podstawę i do powyższego ubrania, a równe tylne bryty przyfałdowane przyszyte są do pleców. Sukienka wełniana, ciemno oliwkowa, przybrana jest pliskami i wypustkami jaśniejszego cieniu. Na brązowe guziczki zapięta kamizelka z jaśniejszego materjału, objęta jest z z przodu i u dołu na 3 cent. szeroko ciemniejszym kolorem; ranwersy w górze 4—5, a u dołu 9 cent. szerokie. Kapturek i vêtement, u dołu objęte są jaśniejszą wypustką z grubym sznureczkiem. Środek kapturka podług wzoru z plisek ułożony, a wyłożenie i szarfy skośne, 6 cent. szerokie, oszyte są pliską 1 cent. szeroką. Szarfy te przypinają się do spiczastego kapturka klamrą stalową. Wykrój pod szyją ogarnirowany jest krezą z jaśniejszego materjału, z podszyciem koronkowem. Jasne mankiety przy rękawach i szarfy w dwóch cieniach przy vêtement, obrębione są rulonikiem i przystrojone klamrami.

Na ryc. 1 spódnica oszyta jest szerokiem, przez środek poprzecznie przestębnowanem plisowaniem, zakończone nagłówkiem, jasnym materjałem podszytym i układanym w 6 cent. odstępach w podwójne kontrafałdy. Odpowiednio do spódnicy, mankiety przy rękawach, oprócz jasnej wypustki ze sznureczkiem, oszyte są plisowaniem.

Na ryc. 2 spódnica z przodu oszyta jest jedną szero-



ką, mało nadmarszczoną falbaną, z tyłu dwiema o pół węższemi; miejsce nagłówka zastępuje jasna, 6 cent. szeroka plisa. Z boku na połączeniu falban, dodane 3 patki, jasną pliską objęte i brązowemi guziczkami przymocowane.

N. 28. Narożnik do kołnierzyka.

N. 3. **Stanik** z baskiną i długą tiuniką.



N. 29. Mankiet z szafirowego płótna z haftem i muślinowem plisowaniem.

N. 26. Kołnierzyk ze szmizetką.

N. 30. Mankiet z płótna écru z pliskami białemi i koronką.

Wzór kroju i sposób podpinania tiuniki, podaje Ryc. 25 i 26. Przód stanika ryc. 34 w N. 24 Tygodnika.

Nawet przy małej znajomości kroju, łatwo dopasować do każdej dobrej formy stanika. zręczny i nowy rodzaj baskiny, podanej na ryc. 3. Boczny, nie zeszyty brzeg, przedniej części baskiny ma 4 cent. długości; długość środkowa z tyłu i otwartych brzegów z boku, dochodzi 16 centymetrów. Przy zeszyciu pleców z boczkami, baskina we

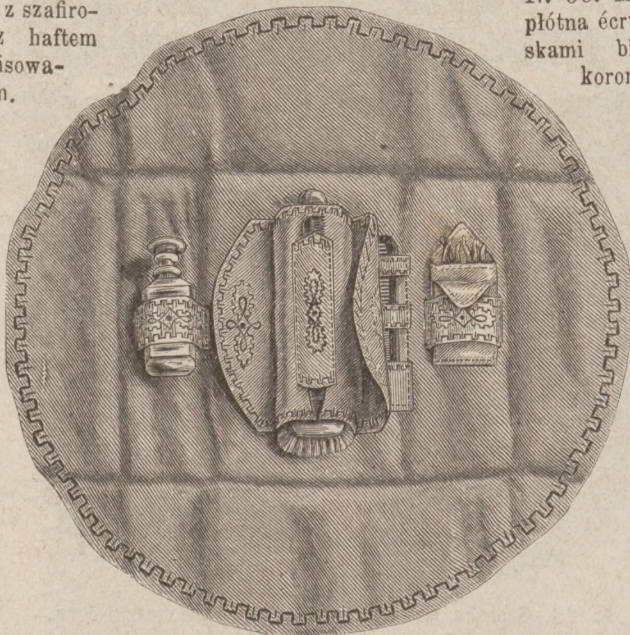


N. 34. Stanik z baskiną. Do kostiumu który podamy w Nrze. 25.

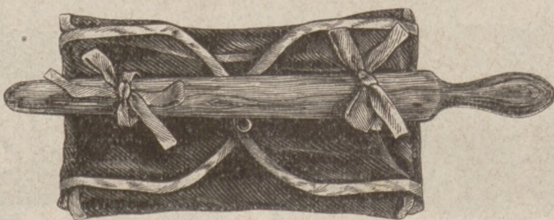
dwie fałdy zaszyta, skrócona jest do 8 centymetrów. Podwójny ranwers kołnierzyka widoczny na ryc. 34 w N. 24, zachodzi z tyłu pod ubranie wskazane na ryc 3. Na modelu podana tiunika jest tylko z dwóch brytów materjału 120 cent. szeroka, kawałki ścięte przy przednim brycie od góry, przyszywają się jako kliniki do dołu. Ryc. 26 podaje model kroju, i dokładnie oznaczone miary długości i szerokości. Na ryc. 25 widzimy wewnętrzne urządzenie tiuniki, to jest sposób podpinania na guziki i pętelki. Przedni bryt rozcięty jest tylko dla tego, ażeby tiunika mogła być gładko rozłożona. Miejsca przyszycia guzików i pętelek dokładnie są na ryc. 26 oznaczone, a sposób zapinania na ryc. 25 wskazany. Gdy tiunika jest już zapiętą na osobie, środkowa bufa podpina się do guzika przy pasku przyszytego.

Suknia ta odrobiona jest z letniego materjału w kolorze écru. Garnirunek vêtement stanowi szlak, którego deseń podany jest na ryc. 38 w N. 23 Tygodnika. Pod zęby podszyte plisowanie 6 centy. szerokie, ułożone być może z muślinu albo batystu. Ry. 34 w N. 24 Tygodnika, przedstawia z przodu stanik od sukni tegoż fasonu, odrobionej z lekkiej, wełnianej tkaniny w dwóch dobrze odróżniających się odcieniach popielatych. Przy ranwersach, kieszonce i plisowaniu z jasnego materjału, dodane są wypustki z ciemniejszego cieniu; baskina i fryzka, z tyłu 5, z przodu 2 centy. szeroka, podszyte są kolorem jasnym. Jasne, 4 i 5 centy. szerokie plisowanie przy rękawach, układa się z podwójnie złożonego skośnego materjału, środkowe zaś ciemne plisowanie jest pojedyncze i stębnówką obrębione. Kokardy z obydwóch cieni przepięte klamrą dżetową. (d. c. n).

N. 27. Narożnik do kołnierzyka ryc. 26.



N. 31. Neseser na przybory do czesania. Patrz ryc. 32.



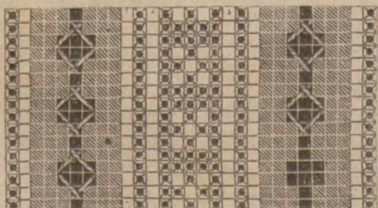
N. 32. Neseser zwinięty. Patrz ryc. 31.



N. 35. Stanik bez rękawów zszyty z pasków materjału sukna i wełnianej koronki.



N. 36. Stanik z napierśnikiem.




N. 37 Wyszycie na kanwie.



N. 33. Deseń wyszycia do ry. 31